WTOREK
Nr 147 86-12-16 Cena 10 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

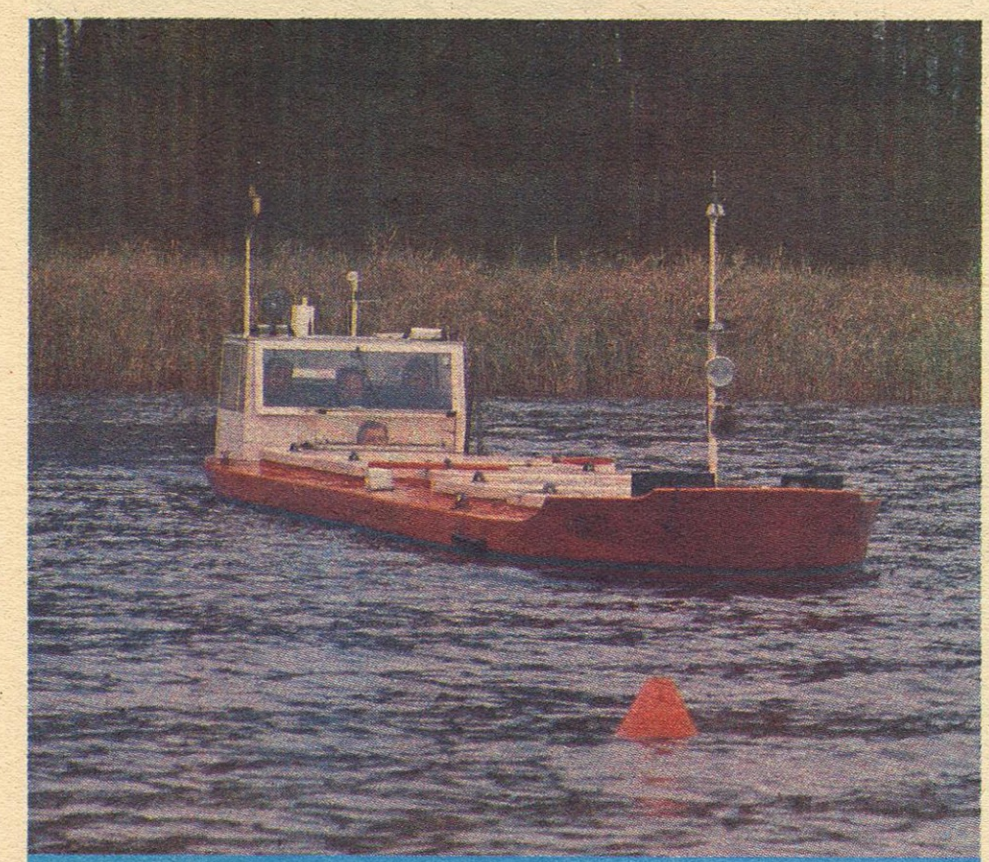

„MORZE" W JEZIORZE

PATRZ STRONA 5

Fot. Marek Szymański

KRZYŻ ZA ZASŁUGI DLA ZHP DLA ZAWIERCIAŃSKICH „Czwartaków"

KATOWICE (Inf.wł.). Istniejący od 12 lat przy Zespole Szkół Hutniczych w Zawierciu XXII Szczep Starszoharcerski „Czwartacy" jest jednym z najlepiej działających w Katowickiej Chorągwi ZHP. Rokrocznie sięga po najwyższe laury w manewrach techniczno-obronnych, jest organizatorem wielu obozów i zimowisk.

W tym roku druhny i druhowie ze szczepu „Czwartacy" zorganizowali rejs przyjaźni „Balaton'86", obóz nad morzem w Szklanej Górze oraz spływ Pilicą.

Za swoje osiągnięcia „Czwartacy" zostali uhonorowani najwyższym harcerskim odznaczeniem – Krzyżem za Zasługi dla ZHP.

W uroczystości, która odbyła się 14 listopada aktu dekoracji sztandaru szczepu dokonał komendant Katowickiej Chorągwi ZHP hm PL Janusz Woźniak.

Wyróżniającym się w pracy ideowo-wychowawczej instruktorom: hm hm Teresie Myrcie, Edwardowi Mitrędze, Annie Wojtyłko i Leonowi Podsiadle wręczono medale „Za Zasługi dla Katowickiej Chorągwi ZHP". Uhonorowano również wiernych przyjaciół szczepu Honorowymi Odznakami Ruchu Przyjaciół Harcerstwa.

W trakcie uroczystej zbiórki siedmioro druhów i druhen złożyło zobowiązanie instruktorskie. **(kk)**

Powracamy do dawnej nazwy: ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO

Świat Młodych

● Ważne uchwały Ogólnopolskiego Zjazdu Działaczy Harcerskich w Łodzi

● Za kilka dni rozpocznie pracę nowowybrana Główna Kwatera Harcerstwa

HYMN ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO

WSZYSTKO CO NASZE – POLSCE ODDAMY

Deklaracja Zjazdu ZHP

ODRODZENIE HARCERSTWA

Trzydzieści lat temu, w dniach 8–10 grudnia 1956 roku obradował w Łodzi Ogólnopolski Zjazd Działaczy Harcerskich. Niezwyczajne to było spotkanie, tak jak niezwyczajne były to czasy dla Polski. W całym kraju toczyła się burzliwa, ogólnonarodowa dyskusja o „naprawie Rzeczypospolitej", trwał rozrachunek z poprzednimi latami, umownie określanymi nazwą „stalinizm", kiedy to niejednokrotnie łamano prawo, karano niewinnych ludzi, ale przede wszystkim lekceważono społeczeństwo, jego dążenia, tradycje, dorobek. Ofiarą tamtych czasów padło także harcerstwo i jego działacze.

Późną jesienią 1956 roku odradzała się Polska po niedobrym, gorączkowym śnie. Ten ozdrowieńczy proces nie mógł ominąć harcerstwa. Spotkali się wtedy w grudniu 1956 roku w Łodzi przedwojenni instruktorzy pamiętający tworzenie pierwszych skautowskich drużyn; harcerze „Szarych Szeregów"; wreszcie nowe pokolenie działaczy, pracujących w powojennej Organizacji Harcerskiej. Spotkali się, by radzić o odnowie w harcerstwie. O jego odrodzeniu.

Harcerstwo w istocie się odrodziło. Znowu stało się organizacją wychowującą młodego obywatela dla służby narodowi i Polsce, które to słowa brzmią patetycznie, ale kryją w sobie po prostu prawdę.

Od tego czasu upłynęło lat trzydzieści. Lat naznaczonych wieloma zdarzeniami wielkimi, mniejszymi i zupełnie małymi. Od tego czasu przez szeregi harcerskie przewinęło się sporo już roczników. Wszak rodzice dzisiejszych zuchów i harcerzy, także ich nauczyciele i instruktorzy byli co najwyżej zuchami w owych pierwszych burzliwych latach po odrodzeniu harcerstwa.

Ale mimo wielu zmian pokoleń zasada pozostaje ta sama: być zawsze gotowym odpowiadać na wyzwanie czasów. Co jest dziś tym wyzwaniem? Szara, żmudna praca, służba tak szara, jak szare są mundurki harcerek? Bez fajerwerków, bez wielkich „ochów" i „achów". Może owa zwyczajność jest tym wyzwaniem? A może wyzwaniem jest współbudowanie pokoju? Każdy z nas, harcerek i harcerzy musi sam, w zastępie, drużynie, kręgu instruktorskim, ale przede wszystkim wobec własnego sumienia odpowiedzieć: jak ma dziś wypełniać się moja harcerska służba?

Na czym ma ona polegać?

To jest bardzo trudne. Ale ta rocznica, którą wspominamy dziś, ma też wymiar zobowiązania. Przed trzydziestu laty – przeczytamy o tym w artykule druhny Wiktorii Dewitzowej – harcerze, uczestnicy Zjazdu Łódzkiego, odrzucili na bok urazy, swary i kłótnie, by wspólnie odrodzić harcerstwo. Swoje „ja" odrzucili na rzecz „my". Sądzimy, że ta postawa powinna też być udziałem współczesnych harcerzy.

Najlepiej więc będzie, gdy tę piękną rocznicę potraktujemy jako okazję do zadania sobie wielu pytań. Pytań, które postawić warto. I trzeba. Po to, żeby móc powiedzieć, tak samo jak przed 75 laty, tak samo jak przed laty trzydziestu:

CZUWAJ!

UWAGA! UWAGA!

Kto stawał w szranki o „Złotą Ostrogę" niech przeczyta numer w najbliższy czwartek!

świat młodych

ZŁOTA OSTROGA

WŁAMYWACZKĘ OPATRZYŁ... WETERYNARZ

Jak podaje „Wieczór Wybrzeża" w niedzielę dziewiątego listopada, posterunek Milicji Obywatelskiej w Pastęku został zaalarmowany wiadomością, że do sklepu meblowego Gminnej Spółdzielni dokonano włamania. Milicja wraz z prezesem GS udali się niezwłocznie na ulicę Westerplatte, gdzie się sklep znajduje. Na miejscu okazało się, że zamki są nienaruszone, ale o tym, że coś się tu działo świadczyła wybita szyba.

Po wejściu do wnętrza ujrzano drżącą ze strachu i osłabienia „włamywaczkę". Była nią... sarna, która wybrała się prawdopodobnie na spacer do miasta i spłoszona czymś albo przez kogoś, skoczyła w okno, wybiła szybę, kalecząc się o szkło. Ze sklepu oczywiście nic nie zginęło, a sarną zajęli się weterynarze.

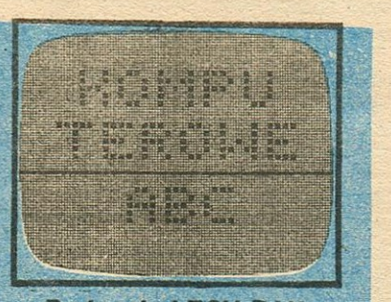

Redaguje LECH BĄK

KROK CZTERNASTY

Czy komputer liczy

Owszem, i to jeszcze jak! Możesz na nim mnożyć, dzielić, dodawać i odejmować. Obruszysz się zapewne i powiesz, że zrobiłbyś to samo na pierwszym lepszym kalkulatorze. Masz rację, ale niezupełnie. Komputer zaprogramujesz sam, a kalkulator nie. Dzięki oprogramowaniu jeden raz naciśniesz klawisz, a komputer tysiąc razy pomnoży, podzieli, wysumuje i wypisze wynik na ekranie. Co więcej możesz napisać taki program, aby obliczenie było przerwane w połowie, podany wynik częściowy, a Ty w zależności od tego, co zobaczysz na monitorze – wybierzesz sposób dalszego obliczania. W kalkulatorze masz kilka funkcji typu sinus, cosinus, pierwiastek. Są one ustalone i nie zmienisz ich. Jeśli natomiast napiszesz program, to zdefiniujesz w nim zupełnie nową funkcję, której nie masz w kompilatorze albo interpreterze (zobacz np. artykuł o ciągu Fibonacciego). Takich nowych funkcji możesz zdefiniować kilkadziesiąt i w zależności od potrzeb używać dowolnej z nich.

Cd. na str. 2

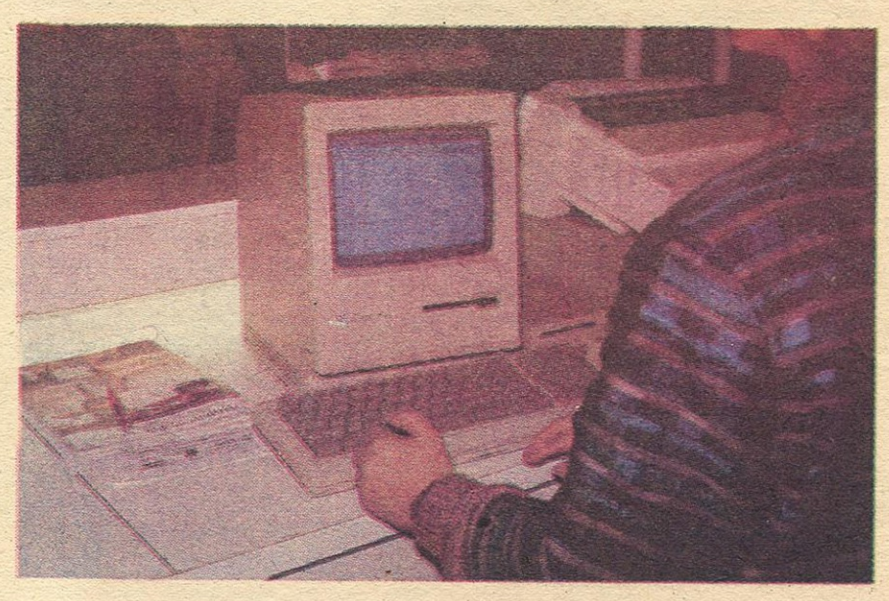

Macintosh Plus – drugi reprezentant klasy MEGA. Niezawodny, wykonany, bardzo solidnie, ale prawie trzykrotnie droższy od MEGA Atari 1042 STF

Fot. **Grzegorz Zalot**

REPORTER Świata Młodych

DLA KOGO KODEKS?

UCZEŃ MA PRAWO?

Kodeks Ucznia... coś, co na pierwszy rzut oka przepełnione jest groźbami, karami, obowiązkami. Ot, morały prawione przez kogoś „wyższego". W kodeksie tym znajduje się kilka punktów, ja zajmę się jednym – „Prawa ucznia". Czy zawsze właściwie stosujemy się do tego ważnego przecież punktu? Może tak jest w innych szkołach, ale o mojej nie mogę tego powiedzieć. Podam przykłady niestosowania się nauczycieli (tak, właśnie nauczycieli, nie uczniów) do Kodeksu Ucznia.

Oto jeden z nich:

Ostatni dzień w szkole, ostatnie spotkanie z wychowawczynią w tamtym roku szkolnym. Wszystko zapowiada się pięknie: wakacje, wolny czas. No cóż, to co piękne, szybko się kończy. Wychowawczyni nagle oznajmia:

– A teraz mała praca domowa na wakacje (żeby się nam nie nudziło, słodkie, nieprawdaż?) Napiszcie trzy wypracowania na tematy takie i takie, i przeczytajcie trzy lektury z klasy następnej. Wszystko. Aha, jeszcze nauczycie się na pamięć „Inwokacji" Tylko tyle...

No nie, bez przesady, praca domowa?!

To ja nie mam nic innego do roboty, tylko pisać wypracowania podczas wakacji. I uczyć się „Inwokacji"? Miałam tego dosyć już w roku szkolnym!

Inny przykład: Lekcja historii z nauczycielką, która jest postrachem szkoły. Lekcja skończona, jeszcze nie było dzwonka. Można więc porozmawiać z kim się chce i o czym się chce. Nagle odzywa się „Historyca". No jak tam, Basiu, chodzisz jeszcze z tym Rafałkiem? Ładny chłopiec, popieram, popieram. A ciebie, Marku, to widziałam z dziewczyną, tak za rączkę, no, no! Ja w waszym wieku... To trwa jeszcze dłużej i towarzyszy temu kpiący ton głosu i drwiący uśmieszek. Nie do zniesienia!

Albo inny przykład. Lekcja polskiego. Po niej ma być chemia, sprawdzian. Nauczyciel „nie wyrobił się" z tematem, zajął więc na jego dokończenie pół dziesięciominutowej przerwy. W porządku. Ale za to drugie pół wykorzystał na sprawdzanie... grzebieni i chustek do nosa. Przerwa z głowy! Ostatnia przerwa przed sprawdzianem, na której mogłoby się coś powtórzyć. Nie zdążymy, a chemiczka zjawia się z reguły tuż po dzwonku...

Czy to jest stosowanie się do regulaminu? A przecież wyraźnie „jak byk" – stoi w Kodeksie kilka pozycji: „Uczeń ma prawo" – mieć zapewnione poszanowanie godności własnej i dyskrecję w sprawach osobistych, wykorzystywać w pełni na wypoczynek przerwę międzylekcyjną".

Z reguły narzeka się na uczniów, że nie stosują się do Kodeksu Ucznia, a przecież w wielu szkołach są też nauczyciele, którzy ponad wszystko stawiają naukę i tylko naukę, prawa ucznia pozostawiają w tyle.

Mirka (15 lat)

PS. Przepraszam, jeśli uraziłam moją wypowiedzią jakiegoś nauczyciela, takiego naprawdę super.

ŁAMANY JEST CZĘSTO...

Muszę stwierdzić z ogromną przykrością, że nauczyciele Szkoły Podstawowej nr 11 w Jastrzębiu z dużą częstotliwością łamią Kodeks Ucznia, np. punkt 1 przewiduje, iż uczniowie mogą zgłaszać postulaty i być informowani o ich wykonaniu. W tejże szkole nic takiego nie istnieje, natomiast jeżeli uczeń pójdzie po prostu do nauczyciela i powie, jak sprawa stoi, zwykle słyszy odpowiedź:

– Ty... się tutaj nie wtrącaj, my dobrze wiemy co robimy.

Albo punkt 13 mówi o poszanowaniu godności ucznia. I to nie ma miejsca u nas. Gdy uczeń jest pytany i nie umie (rzecz ludzka) wtedy słychać:

– I czego tak sterczysz „młocie" lub:

– Nie jestem od tego, by patrzeć na wasze gęby.

Owszem od tego nauczyciel nie jest, ale także nie jest od tego, by nas wyzywać. Więcej kultury!!!

PS. Przepraszam tych nauczycieli, którzy są w porządku, lecz takich jest zaledwie kilku.

„WCIĘŁO" GO

Ja w sprawie Kodeksu Ucznia. Po pierwsze, to nie mam nad czym załamywać rąk i twierdzić, że jest źle, że nikt go nie przestrzega, itd. Nie mam nad czym, bo ja go po prostu nie posiadam. Wszelkimi siłami chciałam go zdobyć, żeby było co mieszać z błotem, ale niestety – moje poszukiwania spełzły na niczym. Kodeks Ucznia (jak to dumnie brzmi) „wcięło". Po ostatnim remoncie naszej szkoły, który trwał (notabene) od września do stycznia 1985/86 – tablica oprawiona w szkło nie zawisła już koło harcówki... Może się przypadkiem zbiła, a może to swoista samoobrona naszych nauczycieli...

A oto, co wyżej wymienieni mówią o wyżej wymienionym.

Pani od języka polskiego, cytuję (niedosłownie):

„...a ponieważ ja z reguły nie przestrzegam „Kodeksu Ucznia", więc to ćwiczenie klasowe będzie nie zapowiedziane.

Pani od chemii:

„Kiedyś nie było żadnych kodeksów, mieliśmy po pięć klasówek dziennie i to nie zapowiadanych i wszyscy się uczyli systematycznie, bo nie wiedzieli, kiedy klasówki będą. A teraz co? Kiedy uczniowie mają zapowiedziane klasówki, to uczą się na jeden dzień przed klasówką". (A ktoś z klasy dopowiedział: „Albo na przerwie").

Moim zdaniem, ta druga wypowiedź (o pierwszej nie wspominam, bo nie ma o czym), ma trochę racji. Tylko że wyniki i wtedy, i teraz były prawdopodobnie takie same. Bo jeżeli ktoś się systematycznie nie uczył, to przez jeden dzień na pewno nie odrobi zaległości i dostanie zasłużoną banię.

W K.U. było jeszcze coś o tym, żeby zapobiegać lizusostwu. Ten punkt śmieszył mnie w podstawówce i nie przestał śmieszyć w LO. Ludzie, przecież on wyklucza sam siebie! Najczęściej lizusy są ulubieńcami nauczycieli i gdybyś działaniu kogoś takiego „zapobiegł", to tak, jakbyś podpisał na siebie wyrok!

A na zakończenie troszkę optymizmu: pod Kodeksem podpisałabym się dwiema rękami, szczególnie pod punktem o godności osobistej ucznia. Tak bardzo nie lubię, gdy wychowawczyni wyraża swoją dezaprobatę słowami: „Jesteście najbardziej tępą i durną klasą, jaką do tej pory miałam". Przyjemne! (?).

„Język"

KARTKI NA STÓŁ

Mam lat 12 i chodzę do VI klasy. W naszej szkole są różni nauczyciele. Nasza wychowawczyni należy do tych gorszych. Na godzinę wychowawczą zadała mnie i koleżance opracowanie z kodeksu: „uczeń ma obowiązek". Po krótkiej 5-minutowej relacji na ten temat od razu zrobiła nam gramatykę. Ponieważ w tym dniu mamy dwie lekcje j. polskiego i jedną godzinę wychowawczą, to robi nam 3 lekcje gramatyki! Jeśli usłyszy nasze protesty, wpisuje pały z polskiego oraz z zachowania, a jeśli i to nam się nie podoba, to słyszymy komendę „kartki na stół".

Podobnie jest z matematyką. Codziennie mamy kartkówki. Na lekcji pan od matematyki w ogóle nam nic nie tłumaczy, a na drugi dzień wymaga tego... W naszej klasie są źle uczący się uczniowie, gdy nie wiedzą jak odpowiedzieć lub nie rozumieją pytania, nazywa ich „osłami", „trąbami", „bydlętami" itd. Przewodnicząca prosiła, by tak nie mówił do nas, lecz on wzruszył ramionami i dalej tak jest.

Na szczęście są też dobrzy nauczyciele, chociaż jest ich mało.

D.

SPRAWIEDLIWOŚCI!

Kodeks Ucznia? Jeden wielki zbiór bzdur! Nie wiem, dla kogo on jest stworzony. Dla nas? Dla nauczycieli? Czy tylko dla samego siebie? Chyba tylko dla siebie. Bo Kodeks swoje, a nauczyciele swoje. Napisane jak wół, że mamy prawo wiedzieć o klasówce z tygodniowym wyprzedzeniem, a tu nauczyciel wchodzi, robi powtórkę materiału i pyta: „Jutro mamy razem lekcje? Wspaniale. A więc jutro klasówka". Klasie wychodzą oczy z orbit. Wspaniale. Dla kogo? Bo chyba nie dla nas?! Jeżeli nam każą przestrzegać Kodeksu, to dlaczego sami go nie przestrzegają? A więc klasa „kuje się jak głupia" po nocy na klasówkę, a inny nauczyciel w tym samym dniu (co klasówka) wchodzi na swoją lekcję: „Macie już dzisiaj sprawdzian? To nic, malutka kartkóweczka wam nie zaszkodzi".

Malutka kartkóweczka z pięcioma pytaniami. A nauczyciele później dziwią się, że uczniowie tacy pyskaci, patrzą wilkiem, nie dyskutują na lekcji i tylko potrafią się buntować.

Gdzie Kodeks, gdzie sprawiedliwość?

Limahlka (13 lat)

TO MUSIMY ZAŁATWIĆ SAMI

Wchodzimy do klasy. Nauczyciel każe wyjąć „karteczki". Protestujemy. Klasówka jest nie zapowiedziana i już czwarta w tygodniu. Powołujemy się na Kodeks Ucznia. W tym momencie przegrywamy sprawę – nauczyciel stwierdza, że kodeks jest po to, by go stosować i zauważywszy, że kilku uczniów nie ma tarcz mówi: – „Wy nie wykonujecie obowiązków, my zapominamy o prawach. Remis".

Ma dużo racji, ale myli się w jednym – to jest co najmniej 1:0 dla niego. (Kilka osób dostaje dwóje, wszyscy są wściekli). Ma dużo racji, ale – nauczyciele mówią, że jak my zaczniemy wypełniać obowiązki, oni będą pamiętali o naszych prawach, my żądamy stosowania praw i od tego uzależniamy pamięć o obowiązkach. Koło się zamyka... Uczniowie dostają dodatkowe dwóje, bo nie wszyscy potrafią nauczyć się do kilku klasówek w tygodniu, wszyscy się kłócą, nikt nie potrafi iść na kompromis.

Różni są nauczyciele, różni uczniowie. I nie ma wspólnej płaszczyzny porozumienia. Miał nią być chyba Kodeks Ucznia, ale nie udało się – jedni patrzą na prawa, drudzy zaglądają do obowiązków. Tego się nie da uregulować nowym prawem. To musimy chyba załatwić sami. Takie jest moje zdanie. Najpierw trzeba wypełniać obowiązki, potem wymagać przestrzegania praw. Może wtedy naprawdę będzie remis, może będzie się łatwiej porozumieć?

Bardzo chciałabym tego i chyba wielu, wielu innych uczniów, bo na razie w mojej szkole nie ma dnia bez kłótni – o Kodeks Ucznia, o prawa i obowiązki.

Iwona (14 lat)

REDAKCYJNA POCZTA

Fajtłapa i ofiara klasowa

Chodzę do szóstej klasy. Jestem małomówna i nieśmiała. Z tego powodu mam kłopoty w porozumiewaniu się z kolegami. W młodszych klasach nie cierpiałam tak bardzo, ale teraz już nie mogę wytrzymać. Traktują mnie jak powietrze.

W każdej szkole zdarza się, że dziewczyna chce się popisać i bije chłopaka. Ofiarą takich bójek padam ja, bo zawsze któraś niechąco popchnie chłopaka prosto na mnie.

Według nich nie powinnam usłyszeć słowa przepraszam; chyba nikt nie wyobraża sobie jak ja się wtedy czuję.

Moja klasa uważa mnie także za fajtłapę. Kiedyś była wycieczka. Trzeba było przejść przez strumyk. Ktoś z tyłu zawołał: „Pomóżcie jej, bo jeszcze wpadnie do wody". Czekam na wypowiedzi: czy w Waszych klasach są takie osoby jak ja?

Diana

Ola woła: więcej wyrozumiałości!

Przeczytałam list „Mistrzyni" w nr. 122 „ŚM". Mam co prawda tylko 14 lat, ale uważam, że powinnam zabrać głos, jeśli autorka listu o to prosi.

Mistrzyni! Nie możesz wymagać od chłopca, żeby nie ruszał się z domu i czekał na Ciebie. On też miał wakacje! Poza tym przeprasza... Proponuję, abyś mu przebaczyła. Przecież chłopak nie jest Twoją własnością!

PS. A tak na marginesie, to powinnaś już na stacji podejść do niego i poprosić o rozmowę, a nie wyjeżdżać bez słowa. Pośpiech jest złym doradcą!

Takich sytuacji jest wiele i nie można za każdym razem uciekać! W wielu listach powtarza się to samo: „Zobaczyłam go z inną dziewczyną i od tej pory z nim nie rozmawiam". Ludzie! Więcej wyrozumiałości! Nie traktujcie swoich sympatii jak własności!

Ola Lubańska

Kto skąd i jak ubrany?

Pierwszą sprawą, którą chciałabym poruszyć, jest sprawa dziewcząt ze wsi i z miasta. Dziewczyny mieszkające na wsi skarżą się, że się im dokucza, natomiast ja znam wiele przypadków, że one też nie są bez winy. Mieszkam w mieście i jak co roku pojechałam do cioci, pomagałam przy żniwach. Były tam też miejscowe dziewczyny, które widząc mnie przy zbiorze pszenicy wołały: „Paniusiu, bo sobie rączki pobrudzisz". Pragnę zaznaczyć, że postawą i zachowaniem nie prowokowałam ich do tego. Czy jest w tym coś złego, że pomaga się swoim bliskim? Następne pytanie: Dlaczego dziewczyny, które mają wspaniałe gospodarstwa, chcą uciec do miasta? Jest dużo dziewcząt, które chciałyby mieszkać na wsi, lecz nie mają takich możliwości. Młodzież ze wsi powinna cieszyć się, że tam mieszka, że może przebywać na świeżym powietrzu.

Druga sprawa – dziewczyny zawiedzione, że rodzice nie chcą Wam kupić modnych ubrań, nie martwcie się! Już od wieków wiadomo, że „ubranie nie czyni człowieka". Gdy ja miałam 11 czy 14 lat, to nie prosiłam mamy, by mi cokolwiek kupowała, a mama była mi wdzięczna za to, że bez przeszkód mogła kupić najpierw rzeczy niezbędne. Teraz chce mi to wszystko wynagrodzić.

„Arfa"

REDAKCJA ODPOWIADA: Uwaga, czytelniczko, podpisująca się: „Uczennica klasy VIII w Łodzi". Twoje perypetie z nauczycielką są nie do pozazdroszczenia. Powinnaś o wszystkim poinformować rodziców. Jeśli podałabyś adres szkoły, to chętnie byśmy Ci pomogli... (bs)

Cd. ze str. 1

Ekranik kalkulatora posiada 8 lub 10, a w najlepszym razie 12 okienek, w których pokazują się cyfry. Co to znaczy? To mianowicie, że większe liczby nie zmieszczą się i pojawi się sygnał błędu. Nie będziesz mógł pomnożyć dwóch liczb zapełniających wszystkie okienka – potrzebna będzie Ci dodatkowo kartka papieru i długopis, aby zapisywać wyniki pośrednie – jednym słowem mnóstwo kłopotów. Korzystając z komputera masz podobny problem, ale jeśli umiesz programować to piszesz program mnożący bardzo duże liczby i koniec zmartwienia.

Zapewne nastraszyłem Cię tym pisaniem programów do zwykłych działań. Nie jest to konieczne gdy posługujesz się małymi liczbami. „Mała liczba" – to pojęcie względne i jej wielkość zależy od kompilatora, w zasadzie nie będziesz miał problemu z liczbami mniejszymi od dwa do potęgi szesnastej.

A teraz do dzieła! Istnieją specjalne programy do wykonywania obliczeń (niedługo napiszemy taki), ale my będziemy raczej posługiwać się interpreterem BASIC'a lub LOGO. Stosując komputer zgłaszający się po włączeniu BASIC'iem nie ma żadnego problemu. Napisz po prostu to, co chcesz obliczyć. Na przykład – gdy chcesz pomnożyć dwie liczby, to piszesz pierwszą potem gwiazdkę (jest to symbol mnożenia) i drugą liczbę, a na końcu wciskasz klawisz ENTER. W następnej linii pojawi się wynik.

Działania te traktowane są tak samo, jak wszystkie inne rozkazy w BASIC'u lub LOGO. Może pojawić się komunikat, że nie powiedzieliśmy tego, co zrobić z wynikiem. W niektórych komputerach przed wpisaniem działania musisz wstawić znak zapytania lub jakiś inny, co jest uzależnione od typu komputera. Najbezpieczniej jest napisać przed działaniem PRINT, a każdy interpreter BASIC'a zrozumie to i wypisze wynik. Podobnie w LOGO. Najpierw słowo PRINT lub TYPE (w polskim LOGO – PISZ), a potem działanie.

Nie powiedziałem jeszcze najważniejszego: o symbolach działań. Mianowicie do mnożenia używamy gwiazdki wstawionej pomiędzy dwoma czynnikami. Do dodawania i odejmowania używamy symboli ogólnie przyjętych do oznaczania tych działań tzn. „+" (plus) i „–" (minus). Jedynie znak dzielenia jest trochę inny niż ten szkolny dwukropek. Tutaj używamy „/" w miejsce „:". W LOGO istnieje jeszcze jeden sposób na oznaczenie dzielenia, mnożenia i dodawania. Może wydać Ci się trochę dziwny, ale jest równie łatwy jak i ten klasyczny. Przed liczbami, które chcesz na przykład dodać do siebie piszesz SUM, a potem dowolną ilość składników oddzielonych spacjami. Podobnie przy mnożeniu – jako przedrostka używamy wyrazu PRODUCT, a w przypadku dzielenia słowa DIV.

Wiesz już jak wykonywać najprostsze obliczenia na komputerze. Za tydzień wykorzystamy naszą nową umiejętność w programowaniu.

SŁOWNICZEK

Spacja – puste miejsce rozdzielające wyrazy.

Chrońmy kozły... ofiarne

Próba sił – tak można określić tę historię, która przydarzyła się Markowi i Grześkowi. Będzie tu mowa o tym, jak zaledwie parę tygodni w nowej szkole, wśród nowych kolegów może stać się prawdziwym koszmarem.

A wszystko zaczęło się we wrześniu...

Emocje związane z poznawaniem szkoły, kolegów, nauczycieli już opadły. Ib w jednym z warszawskich techników robiła wrażenie spokojnej klasy. Tylko Grzesiek wyróżniał się „przebojowym" charakterem. Gołym okiem było widać, że roznosi go energia. A przede wszystkim lubił pożartować, „pozgrywać się" – z kolegów. Może nawet nie tyle robił to dla siebie ile dla publiczności, tak jak klown albo magik w cyrku, który wyciąga komuś chusteczki z ucha albo piłki zza kołnierzyka. A widownia ma z tego wesołą zabawę.

Zaczęło się od teczki Marka. Grzesiek schował ją za szafą. Było dość wesoło, kiedy Marek jej szukał. Grzesiek podpowiadał „gorąco", „zimno", a reszta klasy chichotała z uciechy. Marek jest raczej wstydliwy, łatwo się peszy i w ogóle nie lubi takich szczeniackich żartów. Poczerwieniał tylko na twarzy i skwitował rzecz słowem „idiota" skierowanym pod adresem Grześka. Następnego dnia były zajęcia na warsztatach. Pełny luz. Nauczyciel był zajęty sortowaniem jakichś materiałów na zapleczu. Grzesiek mógł zrewanżować się za wczorajsze. Wymalował Markowi ogromne „Z" (Zorro) kredą na tyle kombinezonu, a potem jeszcze ochlapał mu głowę wodą. Znów rozległy się chichoty; znaczy, przedstawienie udało się. A Marek nic, tylko zrobił się purpurowy i burknął już pod adresem całej klasy „przestańcie się wydurniać, głupcy". Nie zjednało mu to sympatyków, zaś Grześka utwierdziło w przekonaniu, że na Marku można sobie pouzywać ile wlezie.

Grzesiek fantazję miał bujną. „Jednoaktowe przedstawienia" odbywały się na każdej przerwie, repertuar obejmował numery od banalnego wytrącenia jabłka z ręki aż po „wymyślne" nalewanie smarów do kieszeni kombinezonu. Dla Marka przerodziło się to w pasmo udręk, wręcz tortur. Czuł się fatalnie, szczególnie kiedy wszyscy tak chichotali. Teraz żałuje, ale kiedy już naprawdę nie mógł tego wytrzymać, poszedł do wychowawcy i powiedział o wszystkim. Wychowawca wezwał Grześka na rozmowę, dał mu reprymendę. Dowiedziała się o tym zaraz cała klasa; do Marka przylgnął epitet „kabel", zaś Grzesiek wcale nie zaprzestał swoich „spektakli". Wręcz odwrotnie. Stały się one dla Marka jeszcze dokuczliwsze: pocięty piórnik, połamana tuba od rysunku technicznego.

Klasa coraz mniej chichotała, bo już przestało to być śmieszne, ale przyglądała się temu biernie. Niewinne z początku przedstawienia zamieniły się w ostry pojedynek między dwoma chłopakami, choć Marek raczej nie miał szans. Nie potrafił zrewanżować się ani złośliwością, ani chamstwem. Za to znikał podczas przerw z korytarza, miał coraz więcej nieobecności na warsztatach, coraz częściej łapał dwóje, choć był dość dobrym uczniem. Kompletnie załamany zaczął myśleć o zmianie szkoły.

Całkiem przypadkiem „wywęszyła" całą sprawę szkolna pani pedagog. Rozmowa w troje oczu (Marek, Grzesiek plus p.pedagog) dała do myślenia obu chłopakom. W każdym razie skończyły się dokuczliwe żarty. Jedna rozmowa, a tyle załatwiła! Niby happy end... A jednak Marek nie przestał myśleć o zmianie szkoły.

Wierzę jednak, że nie da za wygraną i nie odejdzie. Mam też nadzieję, że jego klasę też już przestały bawić dowcipy rodem z piaskownicy małolatów, że dalej nie będzie ich tolerować.

Opisana sprawa jest o tyle typowa, że nierzadko w klasie znajdzie się taki – mniej czy więcej zaszczuty – „kozioł ofiarny", adresat kiepskich żartów i głupich figli. I chociaż taki „kozioł ofiarny" – z pewnością nie jest gatunkiem w przyrodzie wymierającym, to dobrze byłoby jednak wziąć go choć trochę pod ochronę...

JOLANTA ZDANOWSKA

1

2

3

ZE SPAWALNI NA KARTING

CO DALEJ ÓSMA KLASO

Warszawa. Ulica Pstrowskiego 3. W przytulnej świetlicy Zespołu Szkół Zawodowych Huty „Warszawa" kilkadziesiąt osób – przeważają chłopcy ósmoklasiści – z uwagą słucha informacji dyrektora.

– Do 5-letniego Technikum Hutniczo-Mechanicznego trzeba zdawać egzaminy wstępne z języka polskiego, matematyki oraz dodatkowo z fizyki bądź chemii. Jeśli uda się przejść przez tę przeszkodę, można uczyć się jednego z trzech zawodów: technik elektromechanik, technik mechanik lub technik hutnik o specjalności – przeróbka plastyczna. Absolwenci pierwszego kierunku są zatrudniani przy konserwacji, remontach maszyn i urządzeń elektrycznych, przy wykonywaniu elektrycznych pomiarów; technicy mechanicy – przy obsłudze, konserwacji i remontach maszyn i zmechanizowanych urządzeń. Technicy hutnicy zaś – jest to zawód bardzo w hutnictwie poszukiwany, a więc dający duże możliwości szybkiego awansu – przy obsłudze zautomatyzowanych maszyn do przeróbki plastycznej, takich jak walcarki i ciągarki. Natomiast wszyscy mogą być pewni, że nie będą mieli z zatrudnieniem najmniejszych kłopotów, bo już sama Huta „Warszawa" gwarantuje im pracę zgodną z wyuczonym zawodem.

To samo dotyczy również absolwentów Zasadniczej Szkoły Zawodowej, kształcącej: operatorów urządzeń do obróbki plastycznej lub urządzeń metalurgicznych, operatorów obrabiarek skrawających, mechaników maszyn i urządzeń przemysłowych oraz elektromechaników maszyn i aparatów elektrycznych.

Do ZSZ egzaminów wstępnych nie ma. Wystarczy świadectwo ukończenia szkoły podstawowej i, co niezwykle ważne, opinia lekarska, że dany kandydat może pochwalić się dobrym – a w przypadku operatora urządzeń do obróbki plastycznej bardzo dobrym – zdrowiem.

Kiedy absolwent szkoły podstawowej staje się uczniem ZSZ Huty „Warszawa", automatycznie zyskuje status młodocianego pracownika huty. To zaś wiąże się z wieloma korzyściami, jak choćby np. comiesięczne wynagrodzenie, wynoszące – w zależności od specjalności, roku nauki i solidnej pracy na zajęciach praktycznych – od 3 do ponad 6 tysięcy złotych. Okres nauki w szkole wliczany jest do stażu pracy, uczeń korzysta z uprawnień socjalnych pracowników hutnictwa, m.in. letnich i zimowych obozów w kraju i za granicą. Ma on możliwości korzystania z urządzeń sportowych nie tylko szkół, ale i huty. A po roku nauki otrzymuje co miesiąc tzw. deputat węglowy.

Nie mniej ważna, niż np. fundowane przez hutę stypendia (dla wszystkich uczniów ZSZ i uczniów technikum od II klasy, jeśli zobowiążą się podjąć pracę w hucie w przeciągu 3 lat po ukończeniu szkoły i regularnie otrzymują promocje), czy nagrody za wyniki w nauce, jest opieka zakładu nad uczniami. Mają oni zapewnione nie tylko nieodpłatne posiłki, przybory oraz podręczniki szkolne, ale także stałą pomoc zatrudnionego na pełnym etacie pedagoga i przyjmujących codziennie lekarza i stomatologa.

Pan dyrekor jest dumny ze swej doświadczonej kadry pedagogicznej, z dobrze realizowanego programu wychowawczego szkoły, z tego, że wychowawcy interesują się i znają sytuacje życiowe swoich uczniów.

Na sali cisza. Nie ma pytań. Kierownik warsztatów szkolnych dorzuca jeszcze garść informacji na temat przestrzeganych tamże wymogów bhp, ubrań roboczych oraz gorących posiłków regeneracyjnych dostarczanych uczniom podczas przerwy w zajęciach praktycznych.

Duże zainteresowanie wzbudza wystąpienie kierownika zajęć pozalekcyjnych. Już choćby tylko wyliczenie kilku działających w szkole kół zainteresowań: kartingowe, dysponujące dziesięcioma wózkami, dające możliwość zdobywania licencji na wyścigach i udziału w corocznych zawodach o Puchar Dyrektora Huty: samochodowe, którego adepci przechodzą potem kurs prawa jazdy; żeglarskie, fotograficzne, szachowe, brydża sportowego, recytatorskie – pozwala uwierzyć, że oprócz nauki i pracy uczniowie mają rzeczywiście możliwość realizacji swojego hobby.

– A może by tak teraz parę słów na temat nie tylko blasków, ale i cieni szkoły? – proponuje jedna z obecnych na sali matek.

– Jest jeden: trzeba się solidnie uczyć – odpowiada z uśmiechem dyrektor.

Pora na wycieczkę po szkole i warsztatach. Dzielimy się na dwie grupy. W „mojej" m.in. trzech uczniów ósmej klasy ze Szkoły Podstawowej nr 208. Na godzinie wychowawczej klasa przestudiowała kalendarz spotkań informacyjnych w szkołach ponadpodstawowych, rozdzielili kolejne spotkania między siebie i teraz każda trójka klasowych delegatów będzie się dzielić z kolegami tym, co na spotkaniach zobaczyła i usłyszała. Dwóch innych chłopaków znalazło się tu po prostu z własnej inicjatywy. Wybierają się następnie na spotkanie w szkole ceramicznej na Mokotowie. Jest i jedna dziewczyna. Okazuje się jednak, że nie marzy jej się praca w hucie, a została „delegowana" przez chorego brata. Kilka matek i ojców przyciągnęło swoje pociechy po przeczytaniu informacji w „Życiu Warszawy". Postanawiają nie ominąć i innych spotkań. Zaczynają tworzyć swoiste banki informacji.

Pędzimy po szkole, przez pracownie języków obcych (w ZSZ obowiązuje rosyjski, w technikum – rosyjski i niemiecki), salę fizyczną, salę przedmiotów elektrycznych, pracownię techniczną dla mechaników. Kamery wizyjne, monitory, stanowiska do badania silników. A za potężnymi, okutymi drzwiami z kołatką, nietypowa, fantastycznie ozdobiona przez uczniów i profesora – zapaleńca – sala historyczna. Dzięki innemu nauczycielowi – hobbiście szkolna wypożyczalnia audiowizualna dysponuje ponoć około pięciuset (!) piętnastominutowymi filmami szkoleniowymi z przedmiotów mechanicznych.

W zawrotnym tempie zwiedzamy warsztaty: dział mechaniczny, ślusarnia, spawalnia... Tu właśnie szkolą swych podopiecznych instruktorzy praktycznej nauki zawodu – pracownicy huty.

Tych kilkadziesiąt minut wycieczki po szkole daje jedynie bardzo ogólne pojęcie o tym, jak uczniom żyje się w niej i pracuje.

Wszystkim zainteresowanym bardzo chętnie pokażemy całą szkołę „od kuchni", kiedy pracuje ona na pełnych obrotach, a więc w godzinach rannych – zapewnia dyrektor. – *Wystarczy tylko poprosić waszego wychowawcę czy dyrektora, aby nas powiadomili, a wyślemy dla uczniów każdej chętnej ósmej klasy zaproszenie na wycieczkę.*

Skorzystajcie!

EWA KOSIŃSKA

4

NA ZDJĘCIACH

1. W dziale mechanicznym warsztatów szkolnych uczniowie II klasy ZSZ, przyszli operatorzy obrabiarek skrawających. Temat lekcji: „Toczenie wałków z zamocowaniem w kłach"

2. Ciekawe, w którym z tych ośrodków będziemy w przyszłości pracować! Pewnie w Hucie „Warszawa"

3. Kuźnia. Na kowadle rozpalony jeszcze pręt. Powinien łatwo dać się wygiąć

4. Nauka spawania pod okiem instruktora Franciszka Czerwonki

Fot. **Marek Szymański**

ODRODZENIE HARCERSTWA

Leży przede mną numer „Świata Młodych" z datą 14 grudnia 1956 r. **„Na szarych mundurach harcerek, na zielonych mundurach harcerzy znowu pojawia się dawna piękna odznaka – Harcerski Krzyż. Wraca razem z nim stara harcerska lilijka".**

Zespół redakcyjny gazety pisał do czytelników:

„Razem z Wami, Drogie Druhny i Druhowie, cieszymy się z ważnych zmian, jakie przyniosły naszemu harcerstwu ostatnie tygodnie, ze zmian, które ostatecznie potwierdził Ogólnopolski Zjazd Działaczy Harcerskich. Cieszymy się tym bardziej, że o słuszności, o potrzebie tych zmian byliśmy od dawna głęboko przekonani".

Minęło 30 lat od tamtych dni: w harcerstwie byli wtedy rodzice dzisiejszych druhen i druhów. Więc to już historia. Historia, którą nam, starszym, przyszło przeżywać i w jakimś sensie współtworzyć. Dlatego zapewne „Świat Młodych" zażyczył sobie, żeby coś o tym napisać „od siebie". Z zasady staram się spełniać takie prośby, choć to sprawa niełatwa. Dzieje harcerstwa od samego początku uwikłane były w historię Polski. Były tej historii małą, ale żywo pulsującą cząsteczką. To dla nas powód do dumy, ale i zwiększonego poczucia odpowiedzialności. „Wszystko co nasze Polsce oddamy, w niej tylko życie..." śpiewamy w hymnie.

A życie kraju, bieg wydarzeń, które wyznaczają jego losy, bywa skomplikowane i trudne. Przyszło więc i harcerstwu przeżywać trudne lata. Zjazd instruktorski z grudnia 1956 r., o którym chcemy pamiętać dziś – zamknął ten okres. Jak do tego doszło? Na samym początku, zaraz po wojnie, władze odradzającego się państwa restytuowały Związek Harcerstwa Polskiego. Zasłużyliśmy sobie na to ofiarną walką i nieprzerwaną pracą w konspiracji, a potem samorzutnym zgłaszaniem się drużyn na wyzwolonych terenach „do Służby Polsce i Odbudowy".

Wydawało się, że historia ZHP potoczy się dalej bez wstrząsów; że uda nam się połączyć na trwałe najlepsze tradycje Związku z nowymi zadaniami, jakie przynosił czas powojennej odbudowy i przebudowy społecznej.

Bardzo tego pragnęłam, obejmując w 1945 roku przewodnictwo w Głównej Kwaterze Harcerek. Miałam w żywej pamięci przedwojenne wspomnienia z pracy w najbardziej postępowych środowiskach harcerskich Warszawy: w ruchu wędrowniczek, w KIMB-ie Juliusza Dąbrowskiego, obozach służby, kręgu Złotej Strzały i byłam pełna najlepszych nadziei. Rzeczywistość jednak – jak wiadomo – zawsze odbiega od marzeń. Im trudniejszy stawał się przebieg „polskiej rewolucji" w latach stalinizmu, tym bardziej komplikowała się sytuacja w harcerstwie. Tak jak w całym kraju ścierały się tu dwa nurty „za" i „przeciw". W partii do głosu dochodziła coraz częściej zasada: *„kto nie jest z nami we wszystkim – musi być traktowany jako wróg"*. Tę zasadę zastosowano wobec wielu dawnych instruktorów, z biegiem czasu rozciągnięta została na całą organizację, jako wyrostą z „pnia skautowego".

Jak pogodzić trwałe przekonanie o słuszności wprowadzonych przemian społecznych z wątpliwościami i oporem wobec wielu błędnych sądów i działań, w tym dotyczących nam najbliższego: harcerstwa? To pytanie wielokrotnie stawało przed tymi instruktorami harcerskimi, którzy tak jak i ja przyjęli za obowiązek wytrwać mimo wszystko przy młodzieży; kierować wysiłek na umniejszenia zła, na ile się tylko da...

Podstawową stratą i największą krzywdą było pozbawienie organizacji wszystkich bez wyboru dawnych tradycji: w nazwach, stroju, zwyczajach i wypracowanych form pracy, bliskich dziewczętom i chłopcom. Harcerstwo pod nową nazwą Organizacji Harcerskiej Związku Młodzieży Polskiej pozbawione organizacyjnej samodzielności i podporządkowane szkole – zdawało się usychać. A jednak i w tych tak niedobrych warunkach w terenie tkwiło ciągle zarzewie dobrej roboty: wielu młodych przewodników potrafiło prowadzić taką robotę w swoich drużynach, często same dzieci w przyjacielskich grupach organizowały przygodowe wyprawy, budowały szałasy, podejmowały pożyteczne zadania w swoim otoczeniu.

Sekundował tym poczynaniom „Świat Młodych". Słynna stała się zapoczątkowana przez gazetę akcja „Niewidzialnej Ręki", ciekawie rozwijał się ruch korespondentów w kąciku „Tych, co chcą wiedzieć wszystko".

Ta właśnie dobra praktyka w zestawieniu z ogólnym marazmem i co gorsza – z pozorowanymi fałszywymi osiągnięciami – budziła coraz gorętszy protest, rodziła potrzebę nasilenia walki o słuszne racje.

Toczyła się ta walka wewnątrz samej Organizacji Harcerskiej, wspierali ją rodzice pamiętający „prawdziwe harcerstwo". Coraz głośniej domagali się swoich praw odsunięci od pracy dawni instruktorzy. I tak jak już pisałam, losy harcerstwa sprzęgły się i tym razem z historycznymi przemianami w kraju: w polityce, w partii dojrzewała na nowo sprawa własnej, polskiej drogi do socjalizmu.

Na tej drodze musiało się odrodzić także harcerstwo. Punktem zwrotnym stał się zwołany w pośpiechu do Łodzi Ogólnopolski Zjazd Działaczy Harcerskich.

Niełatwe to były obrady. Uczestniczyli w nich obok czynnych instruktorów Organizacji Harcerskiej odtrąceni instruktorzy Związku Harcerstwa Polskiego i Szarych Szeregów. Ci pierwsi mówili: *„Nie pozwoliliśmy zginąć robocie, wiernie służyliśmy dzieciom i Polsce Ludowej w tych najtrudniejszych momentach. Harcerstwo to my"*. Ci drudzy zabierali głos jako przedstawiciele tradycji Związku, obrońcy wypróbowanych metod. *„Prawdziwe harcerstwo – to my"*.

Harcerstwo roku 1948: najważniejszą służbą była wówczas ODBUDOWA

Harcerstwo 1955: spoza sztucznego blasku i sztucznych ceremonii wyłaniało się pragnienie BYCIA NAPRAWDĘ

Harcerstwo lat 80: co dziś jest naprawdę NAJWAŻNIEJSZE???

Nie brak było w tych głosach gorzkich porachunków osobistych i wzajemnych żalów. Zgoda żdawała się wisieć na włosku – zgoda tak wtedy potrzebna harcerzom w drużynach. I Polsce.

Jeżeli dziś wracamy do wspomnień Zjazdu, jako do ważnego i chlubnego momentu naszej historii, to nie tylko dlatego, że dokonany został wtedy konieczny zwrot w dziejach Związku, nie tylko dlatego, że potwierdzone zostały raz na zawsze sprawdzone wartości harcerskiego wychowania i najlepsze jego tradycje. Wspominamy Zjazd także jako chlubny dowód że słowa – „Wszystko co nasze..." pozostają dla członków ZHP obowiązującym drogowskazem w najtrudniejszych nawet sytuacjach.

Ludzie dorośli o różnych często nastawieniach i poglądach, instruktorzy „z tej" i „z tamtej" strony, my wszyscy zdobyliśmy się wówczas na odsunięcie na bok osobistych racji, uraz i krzywd i na zawarcie porozumienia DLA DOBRA SPRAWY.

„Od kilku miesięcy – pisał po Zjeździe w „Świecie Młodych" druh Aleksander Kamiński – wszystko w Polsce ożyło. Ludzie mówią dookoła o polskiej rewolucji, o nowej polskiej drodze do socjalizmu. Zmieniają się na lepsze szkoły i fabryki, gospodarstwa rolne i związki młodzieży. Według kalendarza jest u nas jesień i zima. Ale kalendarz się myli: **Jest wiosna!"**

Harcerstwo ma dziś ugruntowane samodzielne miejsce w życiu polskiej młodzieży: jest polem przyjacielskiego spotkania chłopców i dziewcząt o różnych zainteresowaniach, a często i poglądach, którzy chcą i potrafią żyć razem „po bratersku" i być potrzebnymi Polsce. Tej dzisiejszej Polsce, w której z wielkim trudem jako wspólne zadanie tworzy się bieg historii kraju, poetycko czasem nazywany „budowaniem polskiej drogi do socjalizmu". Na tej drodze właśnie Zjazd Łódzki stanowił punkt znaczący.

Do Waszego zatem przemyślenia, Druhny i Druhowie, tych kilka myśli i wspomnień z tamtych dni.

WIKTORIA DEWITZOWA

Autorka artykułu, Wiktoria Dewitzowa, była przed wojną działaczką harcerską, związaną z lewicowym nurtem ZHP, m.in. z Kołem Instruktorów im. Mieczysława Bema (KIMB), założonym przez Juliusza Dąbrowskiego, Kręgiem Złotej Strzały, ruchem wędrowniczek. W czasie wojny pełniła służbę w Pogotowiu Harcerek, następnie w Organizacji Harcerek (żeńskiego odpowiednika Szarych Szeregów), prowadziła dom dziecka w Konstancinie, redagowała pismo harcerskie „Dziś i Jutro".

Po wojnie, w 1945 roku została komendantką Warszawskiej Chorągwi Harcerek, a następnie Naczelniczką Harcerek. Po połączeniu obu Głównych Kwater – żeńskiej i męskiej – w 1947 roku została zastępcą Naczelnika Harcerstwa. Po faktycznej likwidacji harcerstwa, w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych – była redaktorem naczelnym „Świata Młodych", a następnie „Drużyny". Jej artykuł z 1955 roku, opublikowany właśnie w „Świecie Młodych" w sprawie niedostatków pracy harcerskiej był ważnym sygnałem, że potrzebna jest wielka zmiana. Niestety, władze polityczne nie wyciągnęły wówczas z tego artykułu wniosków. Po 1956 roku pracowała w TPD.

Wiktoria Dewitzowa była uczestniczką historycznego Łódzkiego Zjazdu. **(red.)**

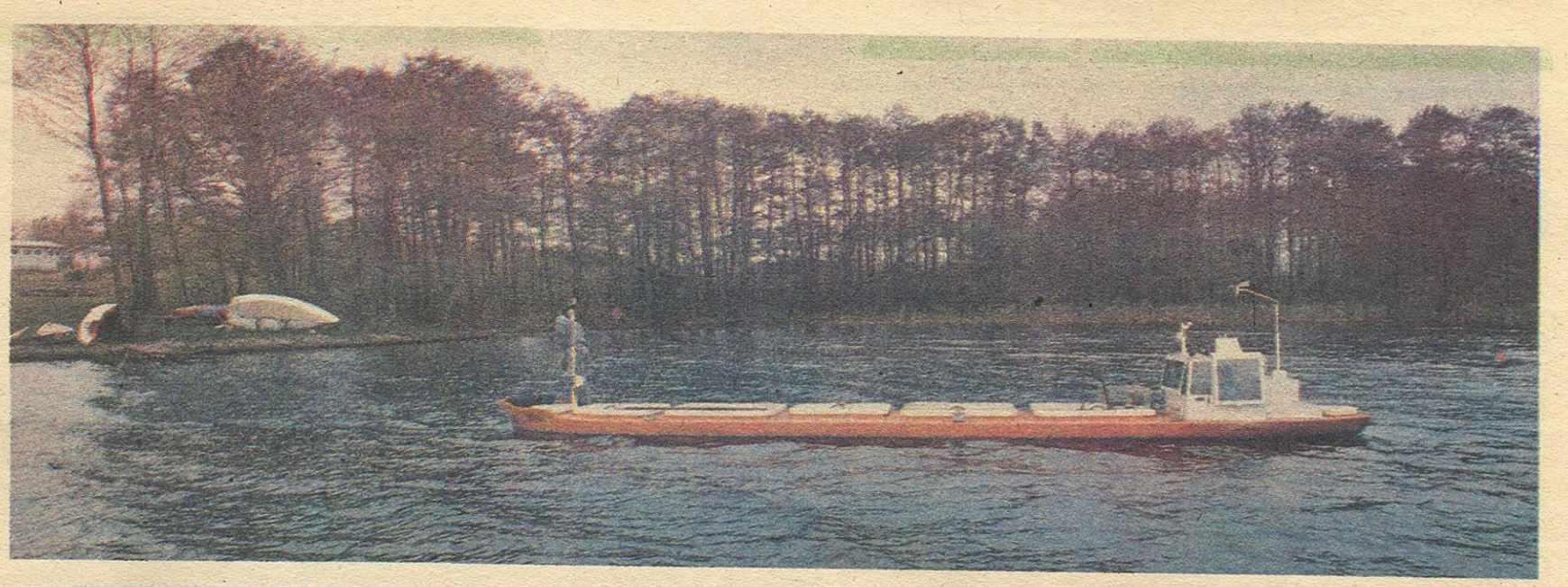

„MORZE" W JEZIORZE

ZDJĘCIA MAREK SZYMAŃSKI

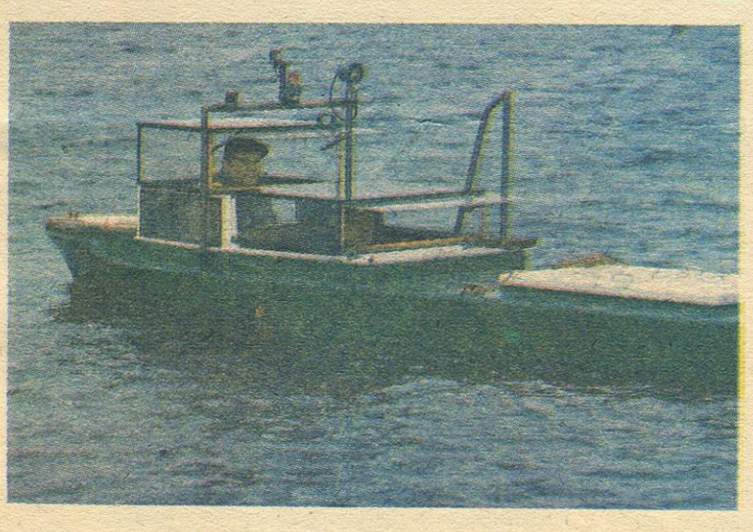

To co widzicie na zdjęciach, to wcale nie zabawa, ale traktowana z całą powagą nauka manewrowania. Poddawani jej są kapitanowie Żeglugi Wielkiej, z których każdy dowodzi na co dzień prawdziwym statkiem czasami nawet kilka czy kilkanaście lat.

Może więc ktoś zapytać, po co poważni, doświadczeni w „bojowych warunkach" ludzie, którzy przeżyli w życiu niejeden srogi sztorm, przyjeżdżają do Iławy nad jezioro Jeziorak i tutaj wsiadają na dziwaczne mikrostatki. Odpowiedź jest prosta – doskonalą tu swoje umiejętności.

A dzieje się to za sprawą wysoko kwalifikowanych instruktorów z Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni i Politechniki Gdańskiej oraz dwóch modeli statków wykonanych w skali 1:24, napędzanych za pomocą 16- samochodowych akumulatorów. Większy z modeli to wierna kopia jednego z gigantów naszej floty handlowej – zbiornikowca „Zawrat" (nośność 145 tys. ton) o długości 12 metrów i wadze 12 ton. Drugi statek to masowiec „Uniwersytet Wrocławski" – normalnie może zabrać ładunek o wadze 52 tys. ton, tutaj długi na 9,1 metra, waży zaś ... 4,5 tony. Mimo tych niewielkich rozmiarów modele prezentują się bardzo okazale i autentycznie. Toteż kiedy nie ma w pobliżu skali odniesienia do ich wielkości, można ulec złudzeniu, że mamy przed sobą prawdziwe jednostki morskie. Tu, na Jezioraku wierna kopia „Zawrata" nazywa się „Warta" zaś „Uniwersytetu Wrocławskiego" – „Szczecin".

Przeważnie do Ośrodka Doświadczalnego Instytutu Okrętowego Politechniki Gdańskiej w Iławie przybywają kapitanowie, którzy mają po raz pierwszy objąć duże, nietypowe statki. Zapoznają się z ich cechami manewrowymi, uczą się wykonywać manewry tzw. „ostatniej chwili", aranżuje się więc również wypadki morskie – np. statki mijają się bardzo blisko siebie – poznają w praktyce elementy trudniejszych przejść morskich dla dużych statków – np. Wielki Bełt, czyli wyjście z Bałtyku u brzegów Danii na Morze Północne, czy też wejście do Portu Północnego. Te i inne przeszkody doskonale imitują fachowo ustawione na jeziorze bojki przysparzając nieraz pływającym kapitanom wiele trudności. Ale o to przecież chodzi...

Mapy dróg wodnych wyrysowane jak dla statku rzeczywistego, mile morskie i głębokości oznaczone jak dla normalnych jednostek, wydawanie takich samych komend jak na wielotysięcznikach – wszystko to stwarza wrażenie, że jesteśmy na kapitańskim mostku na pełnym morzu. Oprócz wymienionych zalet szkolenia jest jeszcze jedna bardzo istotna. Wykonywanie podobnych ćwiczeń na normalnych morskich jednostkach nie byłoby możliwe ze względu na olbrzymie koszty, które by im towarzyszyły.

Nasi kapitanowie korzystali więc, nim powstał ośrodek w Iławie, z podobnych za granicą, szkoląc się za dewizy płynące z kasy armatorów.

(ms)

„Gdy się ktoś zaczyta, zawsze albo się czegoś nauczy, albo zapomni o tym, co mu dolega, albo zaśnie – w każdym razie wygra".

(HENRYK SIENKIEWICZ)

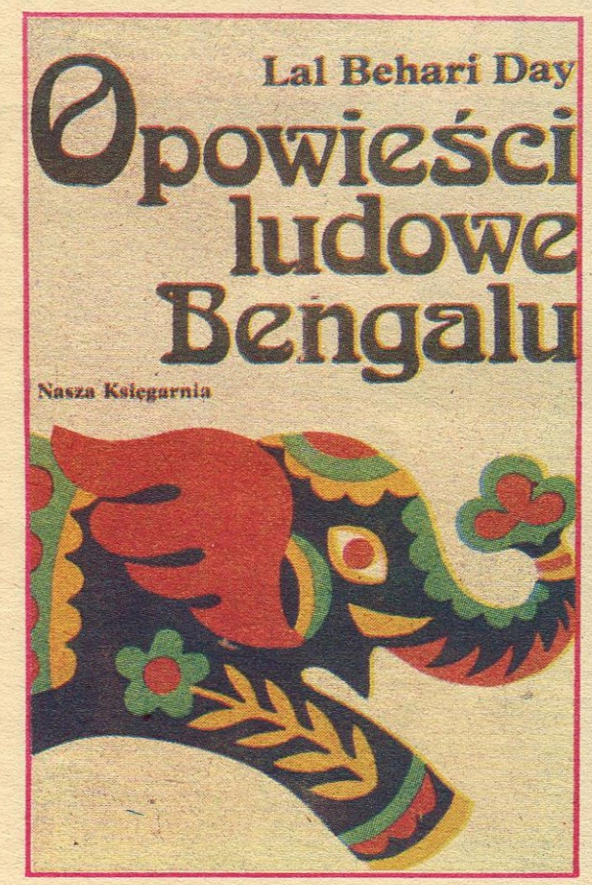

Któż z nas nie lubił bajek? Z ciekawością nadstawiał ucha, gdy babcia rozpoczynała opowieść o królewnie ze szklanej góry, lub gdy mama sięgała po „Klechdy domowe"... Tym wszystkim, którzy, choć wyrośli już z „bajkowego" wieku, lecz nadal lubią te historie piękne, choć czasem nieprawdopodobne, a także tym, którzy interesują się kulturą innych narodów polecamy książkę – **„Opowieści ludowe Bengalu".** Jej autor – **Lal Behari Day** – żyjący pod koniec XIX wieku – był nauczycielem języka angielskiego w słynnej w owym czasie szkole kalkuckiej Hooghly College, a także anglikańskim duchownym i misjonarzem. Książka Lal Behari Daya, licząca sobie już cały wiek – jest zbiorem historii zasłyszanych przez niego od różnych gawędziarzy bengalskich.

Dwadzieścia dwie opowieści są poprzedzone wstępem, napisanym przez tłumaczkę tych tekstów – Elżbietę Waiterową. Czytelnik znajdzie tu informacje dotyczące historii Bengalu, a także kultury, obyczajów i wierzeń ludów zamieszkujących deltę Gangesu, Brahmaputry i Meghny. To krótkie wprowadzenie pozwala lepiej zrozumieć prezentowane dalej opowieści o duchach i czasach, potężnych władcach i ubogich pustelnikach, pobożnych braminach i przebiegłych złodziejach... Bo „Opowieści ludowe Bengalu" to nie tylko podania i bajki, w których dobro zwycięża zło, szlachetni i uczciwi wzbudzają podziw, a wścibscy zostają za swe postępki ukarani. To także, a może przede wszystkim, ogromnie interesujące źródło wiedzy o życiu, zwyczajach ludu bengalskiego.

Czy wiecie, że gdy dziecko kończyło szósty miesiąc życia – odbywała się w domu hinduskim ceremonia annaprasany – czyli pierwsze karmienie malucha ryżem?

A może wiecie, co to jest odżha, śudra, sannajasin? Lub jak była czczona Durga – małżonka Śiwy? Albo jak to się stało, że piękny fakir mógł poślubić tę, którą kochał i tę, którą przeznaczyli mu rodzice?

Jeśli nie – zajrzyjcie do książki, o której mowa. Każda opowieść ozdobiona jest innym znakiem graficznym: np. stylizowaną sylwetką Hinduski, smoka, ptaka. Ten sam motyw umieszczony został na kolejnych kartach poszczególnych opowieści, tuż nad numerem strony. Wystarczy więc rzucić okiem i już się wie, gdzie kończy się jedna, a zaczyna następna historia. „Opowieści ludowe Bengalu" są starannie wydane, wydrukowano je na dobrym papierze, oprawiono w twardą okładkę, ozdobiono ładną obwolutą... Choć cena książki nie jest najmniejsza – 400 złotych – to jednak chyba warto uskładać tę sumę. Ciekawa treść, do której można wracać wielokrotnie i ładne wydanie – to chyba dobra rekompensata za „nadwerężoną" kieszeń.

Są wśród naszych czytelników zapewne i tacy, których do kupna tej książki namawiać nie trzeba: ci, którzy znają już podobne publikacje „Naszej Księgarni". Wydała ona bowiem już: „Legendy Indian Kanadyjskich", „Baśnie fińskie", „Opowieści Ludu Joruba", oraz „Baśnie i legendy Wysp Brytyjskich". A teraz wydawnictwo przygotowuje kolejną książkę. Tym razem będą to „Opowieści z Wołoszy, Mołdawii i Siedmiogrodu". **(ist)**

Repr. **M. Szymański**

Lal Behari Day – „Opowieści ludowe Bengalu", Nasza Księgarnia, Warszawa 1986, s. 206, cena 400 zł.

---

firma poetycka ZŁOTY SZERSZEŃ

Tu jest lista nowych korespondentów (przyjętych z radością i przy niemilknących oklaskach po wakacyjnym konkursie poetyckim „Spotkania – rozstania"):

Andrzej Zając z Jasła, **Beata Jankowiak** z Warszawy, **Tomasz Kotarba** z Krakowa, **Marta Świątek** z Białej Podlaskiej, **Artur Jawor** z Tych, **Joanna D. z** Pruszcza Gd., **Bożena Trzpis** z Glin Wielkich, **Wanda Kulesza** z Warszawy, **Paweł Długosz** z Krakowa" z Tarnowa, **Joanna Duda** z Sosnowca, **DiP** ze Strojca, **Ptaszkiewicz** z Kobylanki, **Jarek Dudczak** z Biskupic, **Ania Pyzik** z Oleśnicy, **Ewa Kruk** z Zielonej Góry, **Łukasz Maciejewski** z Piły, **Jan Wyrzychowski** z Sosnowca, **Iwona Piechocka** z Bygdoszczy (dziękuję za wiersz i fraszkę dla mnie!), **Łukasz Mierzejewski** z Wrocławia, **Jolanta Guździoł** z Jarocina, **„Karolina"** z Łęknicy, **Anna Romanowska** z Warszawy, **Iwona Antosz** z Prudnika, **Robert Miszczak** ze Średniej Wsi, **Aneta Nalborczyk** z Andrychowa, **Włodzimierz Gontarz** ze Stargardu Szcz., **„Teściowa"** z Tarnowa, **Joanna Duda** z Sosnowca, **DiP** ze Strojca, **„Księżniczka Kami"** z Piekar Śl., **Beata Latko** z Libiąża, **Jolanta Miszewska** z Hadry, **Tomek Zieja** z Bałtowa, **Michał Jacklewicz** z Babinka, **Grażyna Małgorzata Bielicka** z Warszawy (pozdrowienia dla Srebrnej Pszczoły Dziwnych Skojarzeń), **Iwona Nowak** z Kraśnika, **Anita Nowak** z Charsznicy, **Renata** z Wąwolnicy, **„Bruce Shee"** z Nowego Brzeska, **Alicja-Niezapominajka** z Trzcinicy, **Roman Łukawski** z Wilczyna, **Joanna Tołwińska** z Kalinowa, **„Leonardo Scram"** z Piły, **Julita Nieznalska** z Gąsawy, **Tomek Piątek** z Dąbrowy Górn., **Jacek Papis** ze Szczecina, **Iwona Winiarska** ze Skarżyska-Kamiennej, **„Kalina"** ze Sławkowa, **Aneta Matczuk** z Włodawy i **Małgosia Jagieła** ze Starachowic (pozdrowienia dla **Taty**!).

Witamy także ponownie Starych Korespondentów – **Joasię Wańczyk** i **Piotra Opokę.**

Wasza BRZĘCZYSŁAWA

Zaczynam grać role... dziadków – mówi Jerzy Bińczycki

W telewizyjnym serialu „Lato leśnych ludzi" grał rolę Rosomaka, w teatrze „Starym" w „Termopilach Polskich" kreował postać generała Suworowa, odtwarzał rolę profesora Wilczura w „Znachorze", w telewizyjnym filmie fabularno-dokumentalnym o odsieczy wiedeńskiej wystąpił jako Jan III Sobieski, w scenicznej „Zemście" zagrał Cześnika. Był wspaniałym Bogumiłem w „Nocach i Dniach". Jerzy Bińczycki – jaki jest? Jaki typ aktorstwa jest mu najbliższy – teatralny, filmowy, czy telewizyjny?

– Przede wszystkim jestem aktorem w ogóle. To raczej niewłaściwe rozróżnienie: aktor teatralny lub filmowy. W szkołach teatralnych kształci się aktorów przygotowując ich do wykonywania zawodu w teatrze, filmie i na estradzie. Tyle tylko, że będąc zajętym przez teatr trudno zaangażować się do dużej roli w filmie, a grając w filmie traci się okazję w teatrze. Gdy np. realizowaliśmy „Noce i dnie" straciłem okazję uczestniczenia w najciekawszych przedstawieniach Konrada Swinarskiego.

– *Aktorzy występujący w filmie lubią podkreślać, że prawdziwą miłością jest dla nich teatr, a przecież występowanie w filmie – to marzenie wielu...*

– Teatr daje aktorowi stałą pracę. Film czy telewizja – to tylko okazje. Może dlatego pracę w teatrze cenimy sobie bardziej, a poza tym – teatr, to jednak szlachetniejszy gatunek sztuki.

– *Ale czy w teatrze może pan zagrać np. gestykulując małym palcem? Czy widz w teatrze może zobaczyć błysk w pańskim oku?*

– To, że w filmie kamera może zaglądać w oko aktora – to technika. Teatr ma inną optykę. Na planie filmowym najważniejsza jest kamera. Aktor ma łapać światło, stanąć bliżej, niżej. – Jest po scenografii, oświetleniu, tle, którymś tam z kolei dopiero elementem. A przecież i to nie jest prawdą o filmie. Jest reżyser, stół montażowy i z tego, co zarejestrowane zostało na taśmie wyjść mogą różne rzeczy. Film – to przemysł, a jego produkt – to swoistego rodzaju galanteria. Czy możliwe jest takie patrzenie na teatr?

– *A jednak mówi się o kryzysie w teatrze.*

– Kryzys w teatrze jest proporcjonalnie mniejszy niż kryzys w kinie. Na Zachodzie zamknięto już wiele kin, u nas też zaczyna się je zamykać.

– *A teatr?*

– Teatr istnieje już te kilka dobrych tysięcy lat. Czym może widz zastąpić żywy, autentyczny udział w spektaklu? To przecież niekłamane uczestnictwo w tworzeniu sztuki. Techniką w filmie można oszukać. W teatrze, który też jest rodzajem udawania, oszukać widza praktycznie nie można. Emocje, które prezentuje się na scenie muszą być naprawdę przekonywające.

– *Chociaż są wyuczone, opanowane do perfekcji?*

– Nie ma dwóch takich samych przedstawień teatralnych. Każde przedstawienie – to rodzaj niespodzianki zarówno dla widza, jak i dla aktora. W filmie takich niespodzianek być nie może.

– *Mówi pan o wpływie sytuacji na sposób gry na scenie, o doznaniach pozateatralnych aktora.*

Wydaje mi się, że doznania pozateatralne aktora mają istotny wpływ na ostateczny kształt kreowanej przez niego postaci. Zauważyło to wielu widzów „Nocy i dni": jest pan człowiekiem solidnym, dobrym, pewnym, rodzajem psychicznej ostoi. Te cechy potrafił przekazać pan w „Termopilach Polskich" tak jednoznacznie negatywnej w polskiej historii postaci, jak generał Suworow. Suworowa, którego pan stworzył na scenie, można było nawet polubić.

– To wynika z mojej wiary w człowieka. Uważam, że nikt nie rodzi się złym. Ludzi kształtują okoliczności, a określone sytuacje, w których się znajdują rozbudzają w nich określone instynkty. Właśnie z tego przekonania wynika moje zawodowe credo: ożywić każdą postać, pokazać ją w pełnym wymiarze... Wiara w człowieka – to dla mnie nie tylko coś istotnego w mojej twórczości, w aktorstwie, ale także przekonanie, które pomaga mi żyć...

– *Czy właśnie dlatego gra pan przede wszystkim role pozytywnych bohaterów?*

– Nie jest to prawda. Od czasu „Nocy i dni" grałem przede wszystkim tzw. osobników. Od Edka w „Tangu" począwszy, aż po role w „Emigrantach", gdzie gram przecież człowieka z marginesu. Tak samo w „Garbusie" i „Trzech siostrach". Andriej Prozorow – to przecież nieudacznik, życiowy bankrut. A Cześnik? Jakiż to pozytywny bohater? Przyznam: lubię grać Słowian, zwłaszcza wschodnich, oddawać ich pozornie prostolinijne i dobroduszne, a przecież skomplikowane natury.

– *Wracając do warsztatu aktora. Często się mówi, że film czerpie z teatru. Czy bywa, czy może być odwrotnie?*

– Tak. Każdy rodzaj aktorskiego doświadczenia procentuje czy to na scenie, czy na planie filmowym. Np. w „Żegnaj Judaszu" Iredyńskiego w reżyserii Swinarskiego wydawało mi się, że przy szybkim dialogu, słowo po słowie, wykorzystać będzie można zupełnie nieruchomy kadr.

– *Kadr?*

– Tak, właśnie kadr. Absolutny bezruch i tylko padające na przemian słowa. To było interesujące... Chętnie – wracając do tematu – korzystam z filmowych doświadczeń w teatrze.

– *W teatrze gra pan już ponad 25 lat. Pański jubileusz i jubileusz Anny Polony uświetnić ma rodzaj spektaklu – wspomnień o Sarze Bernhardt?*

– Chcieliśmy przygotować taki spektakl, rodzaj zapisu z ostatniego okresu życia aktorki. Rzecz na dwoje aktorów: osiemdziesięcioletnia Sara Bernhardt i młodzieniaszkowaty wobec niej, jej sześćdziesięcioletni sekretarz i piekło, które sobie zrobili. Ona zmusza go, by odtwarzał jej role, reżyseruje, partneruje mu. Czy uda nam się zrealizować ten spektakl – nie wiem. Jesteśmy jednak tą starą szkołą – szkołą gotowości i służby.

– *A film? Ostatnio jest w nim pana mniej?*

– Mój udział w „Białej wizytówce" Bajona sam uznaję za bardziej niż skromny, ale rozpocząłem obecnie pracę w filmie angielskiego reżysera polskiego pochodzenia Jerzego Kaszubowskiego. Film „Droga powrotna" powstaje w koprodukcji polsko-angielskiej. Opowiada o losach chłopca, który wywieziony jako dziecko do Rzeszy, po wojnie odszukany przez matkę odbudowuje swą świadomość narodową, uczy się Polski. Ta nauka jest trudna w przesiedleńczej rodzinie osadzonej gdzieś na północnych ziemiach, w której dokonują się dramatyczne podziały przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Gram rolę dziadka chłopca. To piękna rola, dająca aktorowi olbrzymie możliwości. Dla mnie – to także pierwsza rola dziadka.

– *Dziadek staje się przyjacielem wnuka, jego nauczycielem?*

– Tak. I jest to jakby cel działania artysty: zachować, ocalić, przekazać następnym pokoleniom.

Rozmawiał:
ZBIGNIEW KRZYSZTYNIAK (PAP)

Na zdjęciu
W roli Zygmunta Starego w filmie „Królowa Bona" u boku Aleksandry Śląskiej...
Fot. **Romuald Pieńkowski**

DZIEŃ DOBROCI DLA WŁOSÓW

Tyle listów o różnych kłopotach z włosami od Was ostatnio dostałam, że jestem zmuszona wygłosić dzisiaj kilka tzw. prawd oczywistych. Właściwie jest to prawda jedna, że o włosy należy dbać, chuchać na nie i dmuchać, dogadzać im ile wlezie. Inaczej będą ciągle pozostawiać coś do życzenia.

Oczywiście bywają włosy, które i bez starań szczególnych są zawsze piękne i swym właścicielkom żadnych kłopotów nie sprawiają. Niestety, osób, które takie właśnie „bezkłopotliwe" włosy posiadają, jest coraz to mniej.

Mniejsza o to, co jest powodem tego zjawiska – sądzę, że to cała zbitka różnych powodów, ale fakt jest faktem. I wynika z niego, że o włosy trzeba jednak bardzo dbać. Jeśli się chce, żeby były ładne. No, a która dziewczyna by tego nie chciała.

Najczęstszą bolączką osób w Waszym wieku jest włosów nadmierne się przetłuszczanie, a w drugiej kolejności ich kruchość i łamliwość, lubią się np. rozdwajać na końcach. W związku z tym kilka słów o pielęgnacji włosów przetłuszczających się.

Po pierwsze – trzeba je myć często, nawet co 2, 3 dni. Tyle że wystarczy wówczas tzw. jedno mycie szamponem.

Po drugie – do mycia trzeba używać szamponu przeznaczonego dla włosów tłustów, żadnego innego. Szampon należy przed wylaniem na głowę rozcieńczyć (w kubeczku plastikowym np.) w ciepłej wodzie. Na ogół stosuje się proporcję – 2 części wody na 1 część szamponu, ale wiele zależy od gęstości szamponu. Tzw. koncentrat szamponowy wymaga więcej wody.

Po trzecie – ani do mycia, ani do płukania nie należy używać wody zbyt gorącej. Ma być ciepła po prostu. Tak samo nie należy suszyć włosów pod zbyt gorącym strumieniem powietrza z suszarki. Trzeba ją trzymać od głowy dalej, najbliższa dopuszczalna odległość to ok. 20 centymetrów.

Po czwarte – dobrze takim włosom robi płukanie w naparze z ziół. Można użyć gotowej mieszanki pn. Kapilosan, która bywa do kupienia w sklepach „Herbapolu", albo przygotować sobie mieszankę własną – garść rumianku, garść pokrzywy, odrobina mięty. Jeśli włosy macie ciemne, to rumianku dodać mniej, a za to dołożyć trochę kłączy tataraku. Jeśli jasne – niech przeważa rumianek.

Po piąte – ponieważ przygotowywanie naparu ziołowego jest kłopotliwe i trudno byłoby robić to co 2–3 dni, należy przyjąć zasadę, że kąpiel ziołową fundujecie swym włosom co najmniej raz na dwa tygodnie, a po pozostałych myciach końcowe płukanie wykonujecie wodą z sokiem cytrynowym.

Po szóste zaś – włosy tłuste powinny być... krótkie. Z czysto praktycznych względów. Krótkie schną szybciej, a ponieważ często się je myje, trzeba zrobić wszystko, aby czynność ta nie zajmowała człowiekowi pół życia.

Przy okazji prezentuję więc jedną z najmodniejszych w tym roku fryzurek dla włosów krótkich – mam nadzieję, że zdjęcia wyszły w druku wyraźnie. Wasze mamy tę fryzurkę dobrze znają, za czasów ich dzieciństwa nazywała się ona „na poleczkę" i była bardzo popularna. Może więc i córki popróbują...

I to by było – na tyle. Aha, jeszcze jedno. Nie zapominajcie przy tym wszystkim o piciu mleka, o jedzeniu surowych owoców i warzyw. Zawarte w nich składniki są włosom naprawdę bardzo potrzebne.

I – wracając do tytułu dzisiejszego odcinka – myślę, że jednak... dzień dobroci dla włosów nie wystarczy. Kto chce mieć włosy ładne, musi być dla nich dobry zawsze.

RIUSZKA

DOM MODY
świata młodych

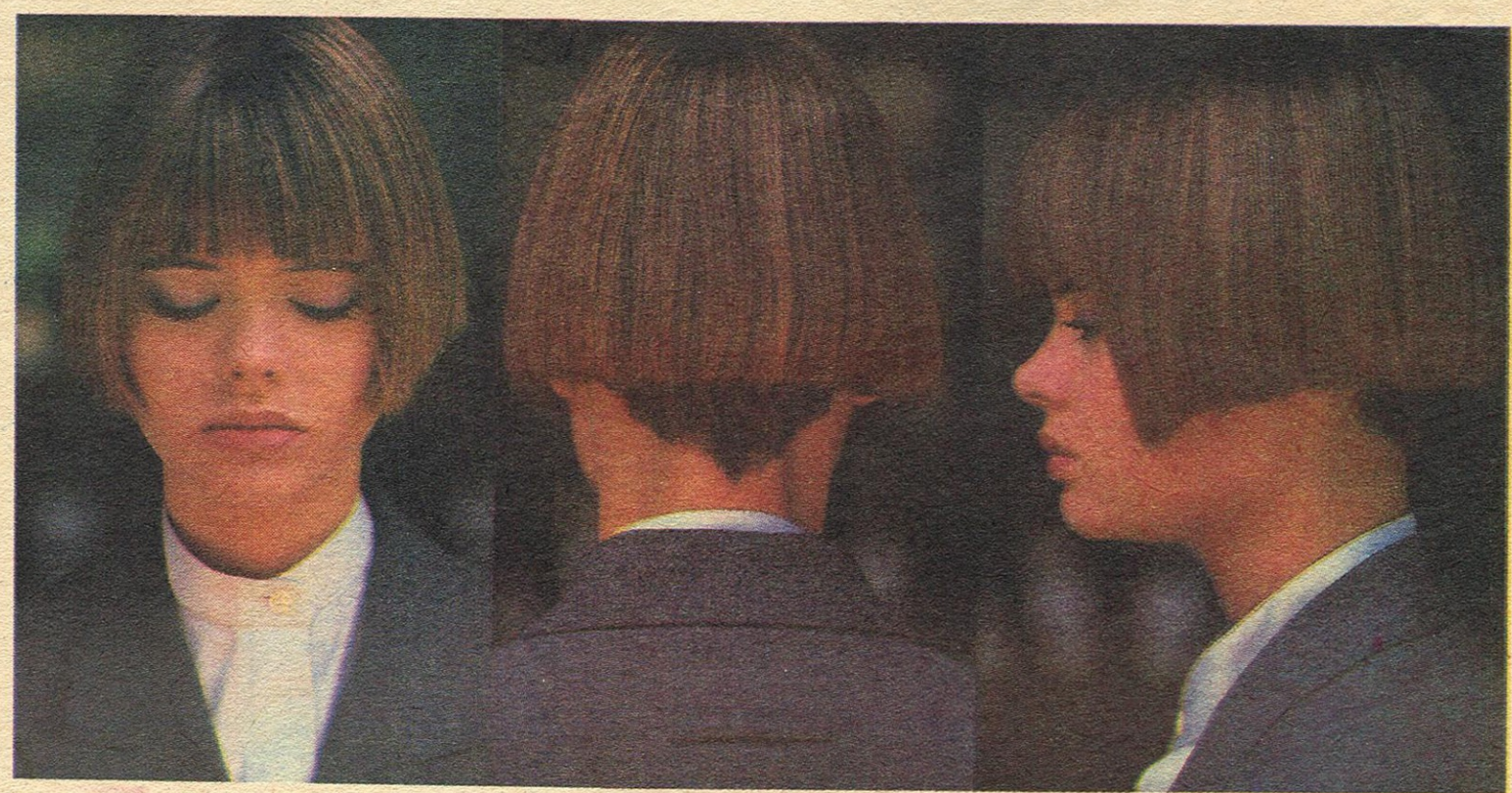

BUDZIK – MAGNETOFON

(PAP). Konstruktorzy elektronicznego sprzętu radiowego są przekonani, że człowiek obudzi się ze snu najszybciej, gdy usłyszy muzykę. Oprócz odbiorników radiowych z budzikiem pojawiły się dlatego jeszcze inne tego rodzaju urządzenia.

Specjaliści firmy Siemens skonstruowali magnetofon kasetowy z zegarem cyfrowym, który może pełnić rolę budzika. Magnetofon jest zasilany ze zwykłej sieci elektrycznej, ale ma także wbudowane niezależne źródło energii. Budzenie jest więc pewne.

dawno... niedawno...

Co się wydarzyło 9 i 10 grudnia

10 XII 1850 r. – zmarł Józef Bem, gen. wojsk polskich, węgierskich i tureckich, wybitny teoretyk artylerii. W powstaniu listopadowym wsławił się w bitwie pod Iganiami, Ostrołęką i podczas obrony Warszawy. W czasie Wiosny Ludów w 1848 r. walczył na Węgrzech w Siedmiogrodzie; pod koniec powstania został naczelnym wodzem armii węgierskiej. Po klęsce na Węgrzech przeszedł do Turcji.

10 XII 1896 r. – zmarł Alfred Nobel, szwedzki chemik i przemysłowiec, wynalazca dynamitu i innych środków wybuchowych, fundator nagród swojego imienia.

9 XII 1922 r. – wybór pierwszego po odzyskaniu niepodległości Polski prezydenta RP Gabriela Narutowicza. Wybrany prezydentem głosami centrum, lewicy i mniejszości narodowych został zamordowany przez E. Niewiadomskiego.

10 XII 1948 r. – Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych przyjęło Powszechną Deklarację Praw Człowieka i od tej pory dzień 10 grudnia jest obchodzony jako Międzynarodowy Dzień Praw Człowieka.

Ponadto:

10 XII 1941 r. – samodzielna brygada strzelców karpackich zdobyła wzgórze Medanar i White Kudl pod Tobrukiem w Libii.

10 XII 1959 r. – zmarł prof. Andrzej Sołtan, twórca polskiej fizyki jądrowej.

Cytat na dziś i jutro

Wszystko powinno się robić tak prosto, jak tylko to jest możliwe – ale nie jeszcze prościej.

A. Einstein

Wprawdzie zainteresowanie kometami spadło wyraźnie, bowiem „Halleyka" jest już niewidoczna, ale to co proponuje dziś Robert Szaj w artykule „O wielkich kometach minionych stuleci" na pewno Was zaciekawi. Przytacza on przykłady rzeczywiście niezwykłych komet, które swym niecodziennym wyglądem fascynowały naszych przodków. Warto przeczytać.

W przyszłym roku, a dokładnie 28 stycznia przypada 300-setna rocznica śmierci drugiego po Koperniku astronoma polskiego, Jana Heweliusza. TOMIK zwraca się więc do swoich korespondentów z apelem o materiały związane z postacią tego wielkiego astronoma. Czasu jest niewiele, więc proszę o pośpiech.

PREZES

O WIELKICH KOMETACH MINIONYCH STULECI

Zacznijmy może od komety Cheseuxa, odkrytej 19 grudnia 1743 r. w Haarlemie (Holandia) przez Klinkenberga. W pobliżu perihelium (przeszła je w dniu 1 marca) osiągnęła tak wielką jasność, że była widoczna nawet w południe. Osobliwy miała też warkocz, a właściwie 6 długich warkoczy, które wyglądały na niebie jak szeroko rozpostarty „wachlarz". Był on widoczny nawet wtedy gdy sama głowa komety znajdowała się pod horyzontem. Zjawisko to przedstawione jest na rysunku.

Niezwykle okazała była też kometa 1843 I*) widoczna w 1843 r., zresztą bardzo krótko.

Osiągnęła ona również dużą jasność, tak że na południowej półkuli Ziemi było ją widać nawet w dzień. Miała niezwykle długi warkocz liczący 250 mln km. Zbliżyła się ona przy tym do Słońca – na odległość ok. 130 tysięcy kilometrów.

Kometę Donatiego, widoczną w 1858 r., obserwowano bezpośrednio po odkryciu tylko przez teleskopy, dopiero bowiem w 11 tygodni po jej dostrzeżeniu zaczął się tworzyć warkocz. W połowie października stała się jednak niezwykle jasnym obiektem. Warkocz jej, długości około 70 mln km rozciągał się blisko na 1/3 nieboskłonu. Odznaczał się też dużą szerokością. Oprócz tego widoczny był obok drugi warkocz w postaci wąskiej smugi. Była to pierwsza kometa, którą astronomowie spróbowali sfotografować. Co prawda obraz na kliszy jest tak słabo widoczny, że nie wszyscy zgadzają się, iż rzeczywiście stanowi on wizerunek komety.

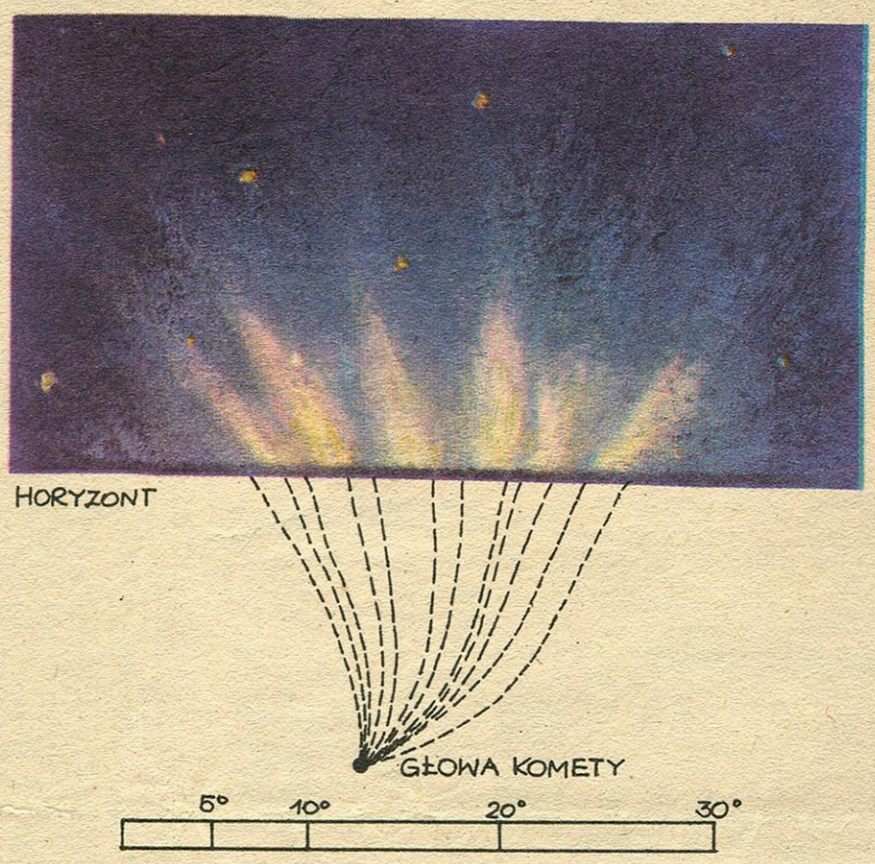

Wyróżniającym się zjawiskiem była też kometa Coggia z 1874 r. Warkocz jej zajmował 1/3 nieboskłonu. Warto dodać, że po zachodzie głowy komety pod horyzont warkocz jej był w lipcu jeszcze długo widoczny na nocnym niebie.

Kometa 1882 II odkryta 3 września 1882 roku, była równie okazała jak kometa 1843 I a nazywano ją „Wielką wrześniową 1882 roku". Dostrzegła ją grupa kolejarzy argentyńskich wracających o świcie z nocnego dyżuru. Regularne obserwacje zaczęto dopiero 17 września ze względu na długotrwałą niepogodę. Przeszła ona bardzo blisko Słońca w odległości ok. 460 tys. km. Pędziła wtedy z prędkością 480 km/s, przy czym przesuwała się między Słońcem a Ziemią. W pobliżu Słońca głowa jej osiągnęła tak wielką jasność, że doskonale widziano ją w dzień okiem nieuzbrojonym tuż koło Słońca. Jak później oceniono była ona 60 razy jaśniejsza niż Księżyc w pełni, stała się więc najjaśniejszą kometą i w ogóle najjaśniejszym – po Słońcu – ciałem niebieskim, jakie kiedykolwiek obserwowano. Niezwykły miała też warkocz. W dniu 9 października 1882 r. narysował go Willis z pokładu statku płynącego koło Gibraltaru.

Była wyjątkowo doskonała przejrzystość, toteż udało mu się zauważyć wiele szczegółów. Dziwny wygląd tego warkocza wynika stąd, że był on wygięty w kształcie połowy okręgu koła, przy czym dla patrzącego z Ziemi głowa komety znajdowała się na tle połowy długości warkocza. Warkocz ten miał przy tym zupełnie niebywają rekordową długość 900 mln km. Osobliwością komety było również to, że po przejściu perihelium orbity rozpadła się na dwie części – proces ten zaczął się już w dniu 27 września.

Nieprzeciętnie jasna była także kometa 1909 I nazwana „Wielką kometą południową" gdyż było ją widać na południowej półkuli Ziemi. Odkrył ją 12 kwietnia 1909 r. urugwajski miłośnik astronomii, Viskara. Być może jednak iż zauważono ją już wcześniej. Osiągnęła ona tak dużą jasność, że była widoczna na samym niebie jeszcze po wschodzie Słońca. W kwietniu przestała być widoczna, ale na początku maja znów można ją było obserwować na wieczornym niebie lecz blask jej szybko jednak słabł. Charakterystyczną cechą jej wyglądu było to, iż oprócz głównego warkocza miała jeszcze 3 inne, co prawda znacznie słabiej świecące. Drugą jej osobliwością był brak głowy komety, widać było tylko maleńkie jądro.

W XIX stuleciu pojawiło się oczywiście wiele innych komet. Niektóre z nich choć nie tak okazale wyglądające, odznaczały się pewnymi osobliwościami. Na razie chciałbym tylko podkreślić, że wśród dziewiętnastowiecznych komet były nawet takie, które obserwowano w dzień, co w naszym stuleciu się jeszcze nie zdarzyło.

Robert Szaj
Kalsk
14-400 Pasłęk

PS. Korzystałem z książki Andrzeja Marksa „Pod znakiem komety". Mogę pomóc w budowie amatorskich lunet i teleskopów.

*) Rzymska cyfra I oznacza, że jako pierwsza przeszła w tym roku perihelium orbity.

ZAĆMIENIE KSIĘŻYCA UTRWALONE NA KLISZY

Należę do stałych czytelników TOMIKA. W związku z artykułem zamieszczonym w numerze 126 z 21 października chciałbym podzielić się spostrzeżeniami na temat obserwowanego przeze mnie całkowitego zaćmienia Księżyca z 17 października br.

Zaćmienie obserwowałem wraz z dwoma moimi kolegami w godzinach od 17.30 do 22.00. Znając już wcześniej datę zaćmienia postanowiliśmy utrwalić na fotografii to stosunkowo rzadkie zjawisko (ostatnie widoczne w Polsce zaćmienie Księżyca miało miejsce 28 października 1965 roku). Zaćmienie fotografowaliśmy za pomocą aparatu SMIENA 8 z kliszą o czułości 27 DIN. Prócz tego nasze wyposażenie stanowiły: lornetka 3,5 cm, pow. 5 x, lornetka 6 cm o powiększeniu 6 x i luneta 4 cm o pow. około 30 x. Nasza metoda obserwacji polegała na zwalnianiu migawki w odstępach pięciominutowych bez przewijania filmu. Pierwsza fotografia przedstawia kolejne fazy wchodzenia Księżyca w cień Ziemi. Wykonana została w godzinach 18.10–19.30 (ostatni ślad).

W maksymalnej fazie zaćmienia Księżyc wyglądał jak brunatnopomarańczowa tarczka, na której można było rozróżnić zarysy mórz.

Druga seria zdjęć (fot. nr 2) wykonana została w godzinach 21.10–22.00 i przedstawia kolejne fazy wychodzenia Księżyca z cienia Ziemi. W obydwu fotografiach zastosowaliśmy czas naświetlania 2–4 sekund. Chciałbym dodać, że pogoda tego wieczoru była doskonała: brak chmur i zamgleń, wręcz wspaniała przejrzystość powietrza (o godz. 20 można było dostrzec gwiazdy do 6 wielkości).

Tomasz Kamiński (lat 15)
ulica Poprzeczna 8/2
64-330 Opalenica

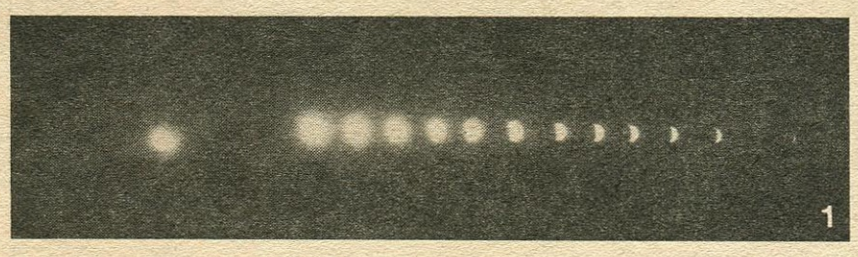
1

2

pruski żołdak lub rodzimy złodziej, a może po prostu człowiek potrzebujący, który stracił wszystko.

Kuchenne drzwi zastali wtedy otwarte – zamek wyłamano. Boże, z jakim strasznym uczuciem wchodziła na schody uczepiona ramienia Ryszarda, wsłuchana w tę jakąś przerażającą ciszę, jak gdyby otwartego grobowca.

Zajrzeli do pokoików Meli. Poszła prosto do ściany, na której niegdyś wisiał talerz z Napoleonem, ale teraz ściana była pusta.

– Matko Boska, nie ma talerza! – dotknęła różowej tapety. – Kto go zabrał?

– Złodziej. – Ryszard spod zmarszczonych brwi omiótł wzrokiem gabinecik Meli. – A raczej barbarzyńca – wskazał połamane krzesełko i strzaskaną etażerkę.

– Talerz z Napoleonem – jęczała Róża. – Boże, Boże. Chodź, poszukamy, może go stłuczono i gdzieś tu leży.

Ale talerza ani jego szczątków nigdzie nie znaleźli. Przeszukali cały dom. Na próżno. Róża była niepocieszona.

Następnego dnia Miguel Toreno deską i gwoździami jak mógł zabezpieczył kuchenne drzwi.

Po tragedii koło Czerwonych Skał właścicielem pałacyku został młody pan Narzymski. Ryszard i Róża nic już tu nie mieli do roboty. Ale nowy właściciel nie kwapił się z przywróceniem dawnego blasku siedzibie brata. Pozostawił ją jak gdyby własnemu losowi, wynajmując dla siebie elegancką antresolę przy ulicy Varenne: „Do czasu, aż się ożenię – oznajmił Ryszardowi. – Potem zobaczymy. Moja przyszła żona zadecyduje". Tymczasem nie spieszył się z ożenkiem, a pałacyk zdawał się go nie interesować.

– Jaka ruina, jaka ruina – jęczy Róża, gdy wraz z Zelią znalazła się na zarośniętym zielskiem podjeździe.

Zelia rozglądała się na wszystkie strony. Zdawała się nasłuchiwać odgłosów z wnętrza domu. Ale wszędzie panowało iście cmentarne milczenie.

– Czego tu szukać, Zelio? – wstrząsnęła się Róża. – Chodźmy stąd co prędzej. To gorsze niż Tuilerie.

O tak. Ta ruina była o wiele gorsza.

Tuilerie wypalone i jak gdyby oczyszczone ogniem, otwarte na niebieski firmament, przypominały kościec olbrzyma rzuconego na gigantyczne mrowisko. Bielał czystością obrany doszczętnie z mięsa, bez jednej plamki. Pałacyk Narzymskich przerażał ciemnym wnętrzem, otworem wybitnej szyby patrząc w bezgwiezdną noc. Co kryło się za ścianami, w których kule wyżłobiły nieczytelne arabeski?

Deska zamykająca kuchenne schody trzyma się już tylko na jednym gwoździu i Zelia bez trudu wchodzi do sieni.

– Po co wchodzić? – Róża mówi szeptem. – Doprawdy, Zelio...

– Nie wiem – przerywa Zelia. – Coś mnie ciągnie...

– Boję się. A nuż ktoś tam jest?

– Poczekaj na mnie na dworze – Zelia kładzie palec na ustach. – Ja muszę zobaczyć.

– Nie, nie. Nie rozłączajmy się.

– Jak chcesz.

Otoczyła je cisza i ciemność. Róża wpija palce w ramię Zelii.

Na kuchennym stole stoją resztki jedzenia i opróżniona do połowy butelka czerwonego wina.

– Ktoś tu jest...

– Ktoś tu mieszka – poprawia Zelia.

– Błagam cię, wracajmy.

– Ani myślę – Zelia ściska rękę Róży. – Nie bój się.

Pokój kredensowy najbardziej chyba ucierpiał od nieproszonych a bezceremonialnych mieszkańców.

Podłogę zaścielały potłuczone naczynia, wśród skorup starej porcelany walały się brudne i pomięte adamaszkowe obrusy, używane widać do innych celów niż to im przeznaczono. Wyrzucone na podłogę szuflady opróżnione z cennej zawartości świadczyły jak najgorzej o obecnych lokatorach pałacyku.

Zelia z determinacją pchnęła drzwi do jadalni. W półmroku zamajaczył owal stołu otoczony krzesłami. Kilka z nich odsunięto, jak gdyby biesiadnicy niedawno wstali od obiadu. Talerze i szklanki wskazywały, że było ich dwóch.

Zelia pochyliła się nad stołem, dotknęła brudnego talerza, po czym zdecydowanym krokiem posunęła się w stronę najbliższych drzwi.

– Tam jest salon – wionęła Róża.

Znalazły się w zupełnych ciemnościach. Ciężkie kotary zasłaniały okna. W dawno niewietrzonym salonie unosił się ostry zapach tytoniu, od razu też wyczuły obecność człowieka.

– Czy to pan Fabian? – głos był gruby i burkliwy, dochodził spod przeciwległej ściany. – Zjadłbym coś. A pieniądze pan przyniósł? Dość mam tego siedzenia po ciemku, jak szczur.

Zelia ścisnęła rękę Róży aż do bólu i bezszelestnie pociągnęła ją za sobą.

Cdn.

17

METACOM

tekst i rysunki: Jacek Widor

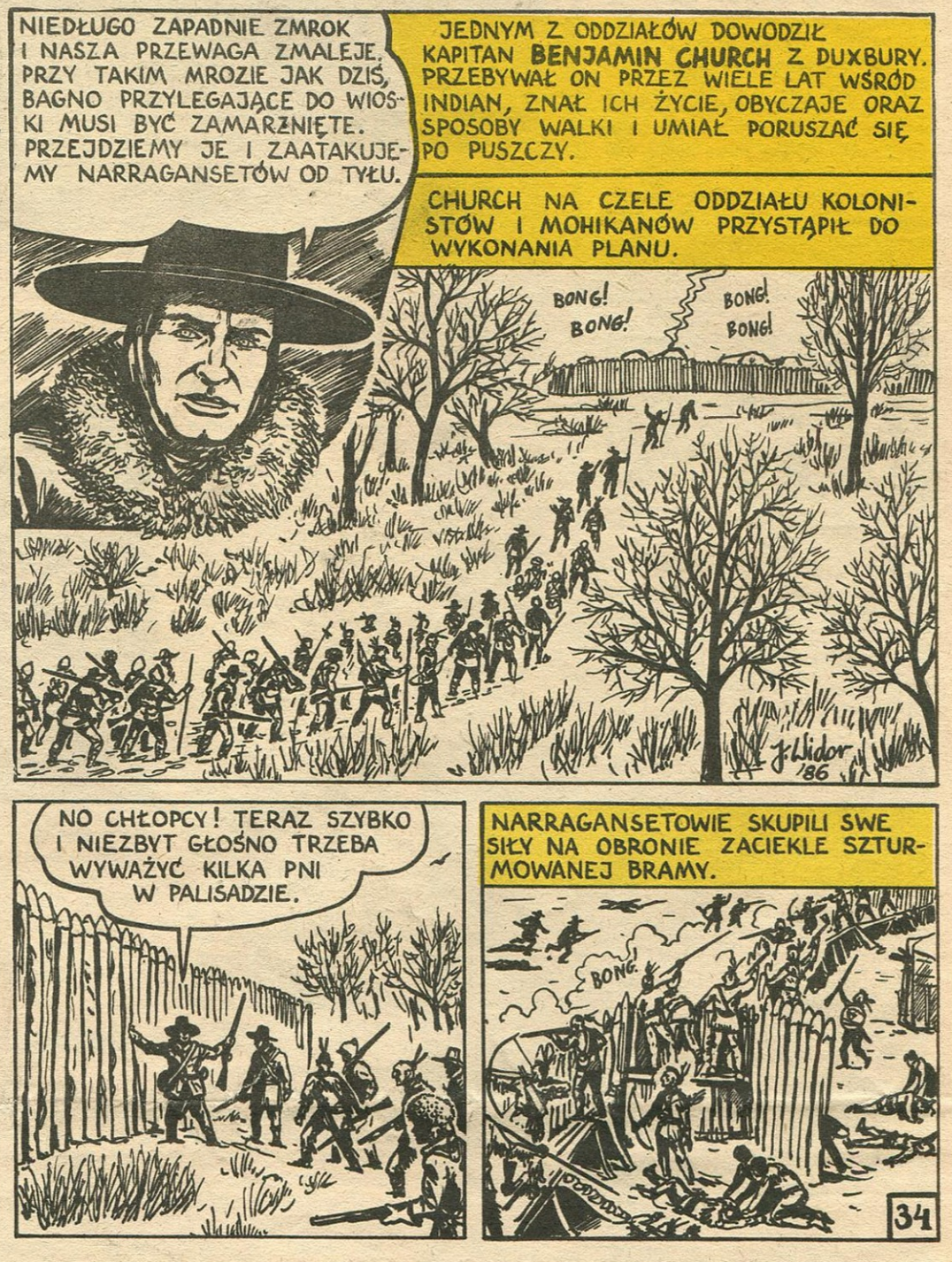

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 147 (4233)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61; z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobylecka tel. 29-21-42; **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grazyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48; **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18); Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13).
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 03-965 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 300 zł za 1 cm². Wpłaty za ogłoszenie od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowe graficzne: Marlena Hanke
Opracowanie techniczne: Wiesława Chmielewska
Korekta: Bianka Abratowska-Lisowska
Skład:
Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Okopowa 58/72
Montaż i druk:
Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Zam. 2322 nr 4021/G. P-64
Nakład 439 000

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY
00-561

UŚMIECH NUMERU

DO PRZEDZIAŁU kolejowego wchodzi konduktor, by skontrolować bilety. Wszyscy podają swoje, tylko Iksiński włożył swój między zęby i szuka po kieszeniach, w walizce, w teczce. Konduktor mówi lekko zdziwiony:

– Proszę pana, bilet trzyma pan w zębach...

Iksiński przeprosił i podał bilet, który konduktor zaraz przedziurkował i odszedł. Iksiński odetchnął z ulgą i mówi do współpasażerów:

– Musiało to chwilkę potrwać, zanim przegryzłem tę starą datę...

★

– JAK na tresera dzikich zwierząt jest pan strasznie mały i taki chudziutki...

– Na tym polega mój trik: te bestie ciągle czekają, aż przytyję!

Dla tej więc zasady niedoszły Henryk V, „własnoręcznie pogrzebał monarchię okrywając ją białym całunem" – oto słowa jakimi legitymiści pożegnali niespełnione a bezpodstawne już nadzieje.

Podczas tych monarchistycznych perturbacji, prezydent Thiers pracował usilnie nad ostatecznym ustanowieniem republiki. Niestety, obalony większością głosów, 24 maja podaje się do dymisji. Na jego miejsce wybrany zostaje marszałek Mac-Mahon.

★ ★ ★

Wyjmując z komody rękawiczki, Róża natrafiła na blaszane pudełeczko. Zupełnie o nim zapomniała, ale czyż można myśleć o czymś innym, gdy nie nadchodzi tak niecierpliwie wyczekiwany list od Ryszarda?

– Coś pan Ryszard za długo milczy – zauważyła Zelia przy śniadaniu.

Róża nieledwie umiera z niepokoju. Otrzymała od męża dwa liściki, jeden z Mentony zaraz po przybyciu, drugi z Ventimiglia. „Mam się dziś spotkać z Pawłem Labourdet" – pisał Ryszard, a oto mija tydzień i nie ma żadnej innej wieści.

– To mi się nie podoba. – Zelia po swojemu trzęsie głową.

– Mój Boże, Zelio, czy przypuszczasz...?

– Nic nie przypuszczam – Zelia widzi przerażenie na twarzy Róży. – Pewnie jest bardzo zajęty, zresztą poczta chodzi jak chce, może jutro przyjdzie kilka listów naraz. Tak już przecież bywało.

Róża jednak nie potrafi opanować niepokoju, żeby więc dowiedzieć się czegoś konkretnego wysyła Miguela Toreno do stryja Meli.

Hiszpan nie zastał pana. Dom zamknięto. Młody Narzymski podróżował.

Gdy minęło jeszcze parę dni bez wiadomości, Róża wiedziała, że Ryszarda spotkało coś złego. Miguel Toreno był tego samego zdania.

– Pojadę – oznajmił. – Dłużej nie można zwlekać. Jestem pewien, że Don Ricardo potrzebuje pomocy.

Nazajutrz po wyjeździe Hiszpana Róża pokazała Zelii metalowe puzderko.

– Co o tym sądzisz? – spytała opowiedziawszy, gdzie je znalazła.

Zelia długo wpatrywała się w pożółkłą kartkę, obracała papier na wszystkie strony, nawet wąchała, ale te oględziny nie doprowadziły do wyjaśnienia tajemnicy.

– Wiesz co – powiedziała wreszcie wkładając kartkę do pudełeczka – może byśmy pojechały w Aleję Cesarzowej?

– Po co? – żachnęła się Róża. – Przecież tam nikt nie mieszka.

– Nie wiadomo – Zelia lubiła zagadki. – Co szkodzi zobaczyć?

Pojechały po południu wynajętym fiakrem.

Trudno było poznać Aleję Cesarzowej. Wojna pozostawiła tu bardzo widoczne ślady. Ulica opustoszała, wydawała się wymarła, białe ściany pałacyku Narzymskich poorały kule, ogród zarósł chwastem. Na głucho zawarta brama nie chroniła jednak domu przed przygodnym a niepożądanym lokatorem. Furtka wyrwana z zawiasów, skrzypiąc chwiała się, poruszana wiatrem. Domek dozorcy od dawna widać opuszczony padł również ofiarą wandali.

Masywne drzwi frontowe i zamki zbyt skomplikowane jak na prymitywne narzędzia, oparły się brutalnej sile przypadkowego włamywacza.

Zniszczenie dokonywało się powoli, każdego dnia i jedynie natychmiastowa pomoc mogła jeszcze uratować biały pałacyk przed kompletną ruiną.

Róża nie zdołała wydobyć głosu ze ściśniętej krtani.

Była tu raz z Ryszardem wkrótce po jego powrocie z wojny. Pałacyk już wówczas niezamieszkały, nie był jednak w stanie takiej dewastacji. Owszem, oblężenie dało mu się we znaki dziurawiąc białe ściany, ogałacając wnętrza z tego, co zdołał unieść

Dokończenie na str. 7